

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Historia ziem zwanych odzyskanymi to do dziś temat gorących dyskusji

● 80 lat temu Szczecin stał się polskim miastem ● Nowa książka podejmująca tematykę Ziem Odzyskanych

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80
LAT

Piątek

14.03.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 61 (24 422) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

Artur Dziambor
komentuje sondaże
korzystne dla
Sławomira Mentzena
str. 4-6



Najsatrsza pizzeria
w Polsce jest
w Słupsku. Kończy
właśnie 50 lat
str. 8

Nie wierzcie w mity
o mózgu! Prawda
o nim też może być
zaskakująca
str. 9



FOT. 123RF

Magazyn Puls

Spadająca gwiazda
Elona Muska.
Jego ostatnie działania
źle wpływają
na biznesy miliardera
str. 23

ROZMOWA

Polska demonologia
jest fascynująca

- W latach 80. napisałem książkę o kandydacie na prezydenta, którego opętał diabeł, i dzięki temu wygrał wybory - mówi Graham Masterton - Kiedy spojrzymy na karierę Donalda Trumpa, trudno nie zauważyć podobieństw. Szczerze mówiąc, jestem tym zdumiony. Rzadko wypowiadam się politycznie, ale naprawdę nie mogę uwierzyć, że ponad 30 procent Amerykanów zagłosowało w ten sposób.

Czytaj str. 24-25

FEELIETON NA FALI

CBA, „Solidarność”
i pechowi rybacy

Dzisiejsza „Solidarność” nie ma już wiele wspólnego z tamtą Solidarnością z lat 80. Związek zawodowy o tej nazwie jest dzisiaj zapleczem politycznym Prawa i Sprawiedliwości i w ogóle się z tym nie kryje.

Czytaj str. 2

SPOŁECZEŃSTWO PIĘĆ LAT MINĘŁO OD POTWIERDZENIA COVID-19 NA POMORZU

Wirus, który nas (nie)zmienił



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

14 marca 2020 roku oficjalnie potwierdzono dwa pierwsze przypadki zakażenia koronawirusem na Pomorzu. Kolejne miesiące i lata upłynęły pod znakiem zakazów, lockdownów, maseczek, pracy zdalnej, a nawet zamykania parków i lasów. Czy po pięciu latach chcemy o tym pamiętać? Życie po pandemii, która była wielkim szokiem w wielu dziedzinach, szybko wróciło do normy. Co w nas zostało po koronawirusie? **str. 7**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaaltycki.pl

Jeszcze do niedawna byłem członkiem związku zawodowego NSZZ „Solidarność”. Przez ponad dwanaście lat opłacałem składki i byłem dumny z chwalebnej historii związku, jego wkładu w obalenie komunizmu w Polsce i na świecie, choć niekoniecznie z jego obecnych władz. Jak powszechnie wiadomo dzisiejsza „Solidarność” nie ma już wiele wspólnego z tamtą Solidarnością z lat 80. Związek zawodowy o tej nazwie jest dzisiaj zapleczem politycznym Prawa i Sprawiedliwości i w ogóle się z tym nie kryje. Dzisiaj zapisanie się do „Solidarności” jest także, niestety, odbierane jako deklaracja polityczna, choć podejrzewam, że wśród szeregowych członków związku są ludzie o bardzo różnych poglądach i gdyby to zbadać, to ich preferencje partyjne byłyby pewnie podobne do tych jakie widzimy w całym społeczeństwie. Bo choć przewodniczący Piotr Duda otwarcie wspiera Prawo i Sprawiedliwość, to ludzie o innych poglądach zapisują się do tego związku, ponieważ jest on największym związkiem w Polsce, w wielu firmach nie ma konkurencji, a ustawa o związkach zawodowych została napisana „pod Solidarność”, zaraz po obaleniu komuny w 1991 r., i dała temu związkowi lepsze warunki do funkcjonowania niż innym.

W minionym tygodniu gruchnęła wiadomość, że do siedziby krajowej „Solidarności” przy Wałach Piastowskich weszło CBA, które na zlecenie prokuratury szu-

FELIETON
NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”

CBA,
„SOLIDARNOŚĆ”
I PECHOWI
RYBACY

kało tam dowodów na korupcję. Jak się dowiedzieliśmy chodzić miało o 2 miliony złotych, które związkowcy mieli zażądać od stowarzyszeń rybackich, za to, że będą ich wspierać na protestach ulicznych oraz pomogą załatwić w rządzie Mateusza Morawieckiego, wypłatę odszkodowań, które PiS im obiecał, ale nie wypłacił.

Zmroziła mnie ta informacja. Bo gdyby okazała się prawdziwa, a wierzyć mi się w to nie chce, to okazałoby się, że „Solidarność” już jest nie tylko przybudówką jednej partii, ale wręcz firmą para-lobbystyczną, która za pieniądze i powołując się na wpływy, chciała czerpać zyski na politycznej korupcji.

W głowie się nie mieści! Oczekuję od władz związku wyjaśnienia tej sprawy do spodu, bo bije ona w cały ruch związkowy, który uważam za niezbędny w demokratycznym państwie.

Zmiany klimatyczne i wielkie połowy paszowe na Bałtyku sprawiły jednak, że dorsza z każdym rokiem było mniej

Żał mi tylko rybaków, bo od dwudziestu lat są ignorowani przez władze i mieli pecha za sprawą zmian niezależnych od nich. Po wejściu Polski do UE dostali możliwość przebranzowienia się,

w zamian za zezłomowanie swoich kutrów i godziwą, liczoną w milionach euro, rekompensatę. Połowa z nich z tego skorzystała, a druga połowa pozostała w zawodzie licząc na to, że utrzyma się z łowienia dorsza, bo w latach 80-tych i 90-tych był z tego dobry zarobek.

Zmiany klimatyczne i wielkie połowy paszowe na Bałtyku sprawiły jednak, że dorsza z każdym rokiem było mniej, aż w końcu stał się gatunkiem zagrożonym i UE wstrzymała jego połowy na kilka lat. Podpisał się pod tym także rząd PiS, który w styczniu 2020 roku obiecał rybakom, że w zamian za przestój w połowach wypłaci im 150 mln zł rekompensaty.

Był styczeń 2020, a dwa miesiące później przyszedł Covid, który „przeorał” i przewartościował nasze życie. Nagle okazało się, że są ważniejsze potrzeby i rząd PiS zwyczajnie zignorował porozumienia z rybakami. Potem wybuchła wojna w Ukrainie, mieliśmy maraton wyborczy i zawsze były ważniejsze potrzeby, niż jakieś rekompensaty dla mało licznej i znaczącej grupy rybaków. Nie dziwię się więc, że mogli w tej trudnej sytuacji zwrócić się do „Solidarności” o pomoc. Ale że za pieniądze? W pale się nie mieści!

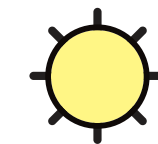
Mam nadzieję, że obecny rząd wypełni zobowiązania poprzedników i wypłaci rybakom należne odszkodowania. A za kilka lat, gdy sytuacja dorsza na Bałtyku się poprawi, będą mogli znów wypłynąć na połowy.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

4°C
-2°CWiatr pñ.-wsch.
11 km/hUwaga
Przejściowe zachmurzenia

Sobota

5°C
-3°CWiatr pñ.-wsch.
13 km/hUwaga
Słonecznie

Niedziela

8°C
-1°CWiatr zach.
22 km/hUwaga
Przelotne opady

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Co piątek publikujemy jedno zdjęcie i pytamy Czytelników, jakie miejsce, lub jaki obiekt jest na nim uwieczniony.

Tym razem z powietrza uchwyczone zostało miejsce znane i lubiane. Prawdopodobnie problemu z odgadnięciem nikt miał nie będzie, a rozwiązanie zagadki opublikujemy w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaaltycki.pl oraz na redakcyjnym facebooku. (AT)

KURSY WALUT

13.03.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	417/424 (+)	GBP	497/504 (+)
USD	387/395 (-)	CHF	434/443 (-)
GBP	497/504 (+)		
CHF	434/443 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	417/424 (+)
USD	387/395 (-)
GBP	497/504 (+)
CHF	434/443 (-)

(+): wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-): spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o): bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: maciej.krajewski@polskapress.pl

Maciej
Krajewski

POLSKA i ŚWIAT

BRUKSELA

Premier Donald Tusk nazwał PiS „poplecznikami Rosji” po tym, jak europosłowie tej partii zagłosowali w PE przeciw uznaniu Tarczy Wschód za flagowy projekt dla bezpieczeństwa UE. Europoseł PiS Michał Dworczyk zaznaczył, że jego koledzy głosowali za poprawką ws. tarczy, ale nie poparli całej rezolucji m.in. dlatego, że uderza ona w NATO, które jest jedynym gwarantem bezpieczeństwa państw członkowskich. PAP

”

Robimy wszystko, żeby Tarcza Wschód była wspólnym zadaniem dla całej Europy. Przeciwno głosowali tylko poplecznicy Rosji

Donald Tusk premier RP

Prezydent chce amerykańskiej broni jądrowej w Polsce

Oprac. Lidia Lemaniak
Warszawa

Prezydent Andrzej Duda w opublikowanym w czwartek wywiadzie dla „Financial Timesa”, wezwał USA do rozmieszczenia broni jądrowej w Polsce w charakterze środka odstraszającego.

„Granice NATO przesunęły się na wschód w 1999 roku, więc 26 lat później powinno również nastąpić przesunięcie infrastruktury NATO na wschód. Dla mnie to oczywiste” – powiedział Duda, dodając, że „byłoby bezpieczniej, gdyby ta broń już tu była”. Wyraził nadzieję na rozszerzenie projektu Nuclear Sharing w Europie, które bez powodzenia zaproponował w 2022 roku administracji ówczesnego prezydenta USA Joe Bidena.

Duda podkreślił, że to obecny prezydent USA Donald Trump

decyduje o rozmieszczeniu amerykańskiej broni jądrowej. Jednocześnie przypomniał zapowiedź Władimira Putina z 2023 r., że Rosja rozmieści taktyczną broń jądrową na Białorusi.

„Rosja nawet się nie wahała, kiedy przenosiła swoją broń jądrową na Białoruś. (...) Nikogo nie pytała o zgodę” – powiedział prezydent.

Rozmówca „FT” powtórzył słowa premiera Donalda Tuska, że Polska mogłaby uzyskać lepszą, alternatywną ochronę dzięki pomysłowi prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który zakłada rozszerzenie francuskiego parasola nuklearnego na europejskich sojuszników. Duda odrzucił jednak pomysł szefa polskiego rządu dotyczący rozwoju polskiego arsenału nuklearnego.

„To zajęłoby dziesięciolecia” – powiedział.

Duda podkreślił, że nie wyobraża sobie, aby Trump wyco-



Andrzej Duda przekonuje, że gdyby amerykańska broń jądrowa była w Polsce, „byłoby bezpieczniej”

fał się ze zobowiązań, jakie złożył w rozmowie z nim w lutym w USA, w sprawie utrzymania obecności wojsk amerykańskich w Polsce.

„Obawy, że Stany Zjednoczone ograniczą w Polsce swoją obecność wojskową, są nieuzasadnione. Jesteśmy dla USA wiarygodnym sojusznikiem i one

również mają tu swoje własne interesy strategiczne” – ocenił.

Siemoniak: Takich rzeczy nie załatwia się publicznie

Do słów prezydenta odniósł się w czwartek szef MSWiA Tomasz Siemoniak. Pytany w TVN24 o tę kwestię ocenił, że warunkiem do rozmowy na temat rozmieszczenia broni jądrowej na terytorium Polski jest to, żeby strona amerykańska była na to otwarta.

– Nie ma nic gorszego niż zgłosić pomysł, który ma ręce i nogi i usłyszeć za trzy dni odpowiedź taką, że to nie wchodzi w grę, bo to wtedy osłabia nas po prostu. Takie rzeczy trzeba załatwiać w zaciszu gabinetów i mieć pewność, że jest jakakolwiek ścieżka do tego – zaznaczył.

Zwrócił uwagę, że ważą się losy przyszłej amerykańskiej obecności w Europie, ponieważ

z Waszyngtonu dochodzą różne głosy dotyczące charakteru i kształtu tej obecności. Jednocześnie dodał, że w stosunku do Polski były jasne deklaracje, że ta obecność będzie utrzymana.

– Uważam, że w takich sytuacjach najpierw trzeba rozmawiać z Amerykanami, a potem cokolwiek ogłaszać – zaznaczył.

Siemoniak podkreślił, że bezpieczeństwo Polski jest najważniejsze, a każda amerykańska instalacja, taka jak tarcza w Radzikowie, każdy amerykański samolot, żołnierz, sprzęt temu służy.

– Jeśli jest do tego otwarta ścieżka, na pewno warto w tę stronę iść. Nie ma tutaj dużej geopolitycznej różnicy między tymi ładunkami, które od dziesięcioleci lat są w Niemczech, a Polską. Na pewno byłoby to mocny sygnał – ocenił.

PAP

REKLAMA

0311271092

ORKIESTRA KSIĘŻNICZEK

KONCERT WIEDEŃSKI 3

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA

29.03.2025.

BILETY - ORKIESTRAKSIĘZNICZEK.PL

* Kolejność uczestnictwa w Koncertach Wiedeńskich (części 1, 2, 3) jest dowolna. Poszczególne części nie tączą się ze sobą. PRZYKŁAD: Nie będąc na Koncercie Wiedeńskim 1 lub 2, można z powodzeniem uczestniczyć w Koncercie Wiedeńskim 3.

STYL ŻYCIA

Najstarsza pizzeria w Polsce i trzyma się nieźle. 8 marca 1975 r. w Słupsku zdarzył się gastronomiczny cud. W znanym z niskich cen społecznym barze mlecznym Poranek właściciel zaszerwował gościom „włoską pizzę”. I tak powstała pierwsza pizzeria w Polsce! Pizza do Słupska przywędrowała z Italii w połowie lat 70. ubiegłego wieku za sprawą dyrektora słupskiej gastronomii Tadeusza Szoldry **STR. 8**



FOT. ARCH. J. KULINOWSKIEGO

HISTORIA

Wartość książki Karoliny Cwiek-Rogalskiej...

...zawarta jest w bogactwie szczegółów umożliwiających jak najpełniejsze spojrzenie na codzienność tych, którzy zasiedlali „nową Polskę” **STR. 14-15**

ARTUR DZIAMBOR: ZAWSZE MÓWIŁEM, ŻE NIE MOŻEMY OSZUKIWAĆ WYBORCÓW

Największą siłą Sławomira Mentzena jest słabość Karola Nawrockiego. Jeżeli lider Konfederacji dochodzi do poziomu, w którym może przeskoczyć tzw. kandydata obywatelskiego, to w PiS sami są sobie winni. Ktoś tam po prostu nie pomyślał. Natomiast wyborcy Rafała Trzaskowskiego muszą usłyszeć przestrozę. Zwycięzcami walki między Mentzenem a Nawrockim są... Mentzen i Nawrocki – mówi Artur Dziambor, dziś dziekan Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa, były polityk Konfederacji, współtwórca tego ugrupowania, który odszedł z niego po konflikcie ze Sławomirem Mentzenem

Tomasz Chudzyński

Mówił pan, jeszcze będąc posłem Konfederacji, że posłem się bywa...

Powtarzałem wielokrotnie, że posłem się bywa, a nie jest, zwłaszcza tym, którzy się mnie pytali, co ja będę robił, kiedy znajdę się poza parlamentem. W Sejmie byłem cztery lata, a w polityce działałem łącznie lat dwadzieścia. Nie wszyscy o tym pamiętają, ale ja pamięć mam dobrą. O przyszłości też myślałem.

Nie żałuje pan tego, że nie jest pan dziś w Konfederacji, że tak to się potoczyło? Trzeba było kląć się z Mentzenem?

Sytuacja, w której się znalazłem w Konfederacji, była straszliwa. To było całkowite ubezwłasnowolnienie. Zgodnie z moimi przewidywaniami, ten los podzielili inni założyciele – liderzy tego ugrupowania. To, co przeżyłem z Konfederacją, to była przygoda mojego życia. Jednak w przypadku ugrupowania spełnił się scenariusz najsmutniejszy z możliwych...

Chwileczkę – partia rośnie w sondażach pod wodzą Sławomira Mentzena. Lider ociera się o drugie miejsce w badaniach przed wyborami prezydenckimi.

Spokojnie z tym poparciem. W tej chwili wygląda to tak, jakby PiS promował swojego, przyszłego koalicjanta. Ale zaczęło się od wyrzucenia ludzi, twórców partii, których zdiagnozowało się jako wariatów. Panowie, którzy dziś są u sterów Konfederacji, zapominają, że gdyby nie Korwin-Mikke czy Grzegorz

Braun, to oni do dorosłej polityki nawet nie mieliby możliwości zapukać. Potraktowali ich jako zbędny balast. Dziś to zupełnie inna Konfederacja niż ta, którą współtworzyłem... Właściwie to prywatna partia Sławomira Mentzena, rada liderów, którą niedawno wybrali, jest fasadą.

Polityka bywa brutalna. Wy-niki mówią same za siebie...

To nowe ugrupowanie, które zastąpiło dawną Konfederację, choć nosi tę samą nazwę, „jedzie” na chwilowej popularności. Zauważmy, ono nie przedstawia programu, żadnych konkretów. Ujmują politykę przez memy i tik-toki. Partia, która chce zdobyć

władzę, musi mieć realne rozwiązania. Nie uda się tego zrobić, skupiając się na ciągłym kontestowaniu. Jakby chcieli zjeść ciastko i mieć ciastko. Ale gdyby, daj Boże, przyszło im rządzić, to nastąpiłaby bardzo smutna weryfikacja tych wszystkich zapowiedzi, którymi mają młodych ludzi. A mówiąc

wprost, często zwyczajnie ich okłamują.

Przydałyby się przykłady, bo to mocno powiedziane.

Pierwszy przykład, taki, który od razu rzuca się na oczy, to obietnica, że wszystko, cokolwiek się zaplanuje, można wprowadzić z dnia na dzień. Brzmi świetnie. Tyle tylko, że wszelkie zmiany w gospodarce to są naczynia połączone. Kiedy jeszcze byłem w Konfederacji, wielokrotnie zwracałem uwagę na to, że nie powinniśmy mówić ludziom, że z dnia na dzień zlikwidujemy wszystkie obciążenia podatkowe, a świat stanie się piękny. I jeszcze, że od ręki sprywatyzujemy szkolnictwo, służbę zdrowia. Tyle że takie procesy trzeba realizować z głową, sprawdzać, obliczać, jakie mogłyby być skutki, jaki takie cięcia wywierałyby wpływ na budżet państwowy. On jest obciążony w 80 procentach „na twardo”. To są zobowiązania na takim poziomie, że żadna partia polityczna nie może tym szafować w politycznej walce. Konfederacja nie ma dziś żadnych oporów, żeby punktować obecną koalicję rządzącą słowami, że ta nie spełniła swoich obietnic,



Sławomir Mentzen prowadzi kampanię za duże pieniądze, z bardzo dużą widocznością, budującą rozpoznawalność

Dokończenie na str. 6

Wielka modernizacja – jak pieniądze z KPO unowocześnią polską energetykę?

Ponad 7,5 miliarda złotych – tyle środków z Krajowego Planu Odbudowy pozyskała należąca do Grupy Orlen spółka EnergaOperator. Efektem programu modernizacyjnego, na który przeznaczone zostaną te środki, będzie m.in. zwiększenie niezawodności sieci dla 3,5 miliona klientów w północnej i środkowej Polsce oraz obniżenie cen energii.

Po odblokowaniu KPO Polska stała się jednym z największych beneficjentów środków z unijnego Instrumentu na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności. Zasilą one różne gałęzie gospodarki, w tym energetykę. EnergaOperator przeznaczy środki pozyskane z KPO na największy w historii spółki program modernizacji i cyfryzacji sieci energetycznej. To działania, które zwiększą bezpieczeństwo energetyczne kraju, a także pozwolą na redukcję kosztów energii ponoszonych przez konsumentów.

Na co zostaną przeznaczone środki z KPO?

Modernizacja sieci energetycznej obejmie między innymi przyłączenie 9 GW źródeł odnawialnych razem z magazynami energii, oraz podłączenie do sieci 200 tysięcy nowych prosumentów. Magazyny energii Grupy Orlen mają osiągnąć docelową moc 1,4 GW. Ich rolą będzie stabilizacja całego systemu energetycznego i obniżenie jego zależności od warunków pogodowych.

Istotnym rezultatem programu modernizacji będzie również zwiększenie niezawodności sieci energetycznej dla 3,5 miliona odbiorców, poprawienie zdolności sieci do dystrybucji energii pochodzącej z OZE, a docelowo – obniżenie ceny energii dla klientów. Wartość całego programu modernizacyjnego w perspektywie do 2035 roku wynosi 40 mld zł.

Modernizacja i nowe inwestycje

W ramach programu przeprowadzone zostaną zarówno prace modernizacyjne istniejących linii, jak i budowa nowych połączeń. Projekt obejmuje także tworzenie zaawansowanych technologicznie elemen-



Podpisanie umowy o środkach z KPO pomiędzy Energa Operator i BGK

tów infrastruktury energetycznej. Co konkretnie powstanie?

- 21 tysięcy kilometrów nowych i zmodernizowanych linii elektroenergetycznych, w tym 7 tysięcy kilometrów linii kablowych;
- przyłącza dla 350 tysięcy nowych odbiorców energii;
- przyłącza dla 1600 ogólnodostępnych stacji ładowania pojazdów (m.in. przy trasach S7 i A1);
- około 1000 nowoczesnych transformatorów i elementów sterowania poziomami napięcia – umożliwią one stworzenie inteligentnej sieci dystrybucyjnej.

Rola lokalizacji

Północna Polska, gdzie m.in. będzie realizowany projekt modernizacyjny, staje się coraz ważniejszym regionem na energetycznej mapie naszego kraju. Grupa Orlen tutaj właśnie koncentruje swoje ładowe odnawialne źródła energii,

a już wkrótce powstaną tu także 4 morskie farmy wiatrowe. System energetyczny oparty na źródłach odnawialnych wspierany będzie przez dwie obecnie powstające elektrownie gazowo-parowe i dwie następne, planowane w Gdańsku i Grudziądzu.

Nowoczesne magazyny energii to – poza samymi elektrowniami i infrastrukturą przesyłową – bardzo istotny element zmodernizowanego systemu energetycznego. Służą one do przechowywania nadmiarowo wyprodukowanej energii w celu jej późniejszego wykorzystania. Dzięki temu sieć może mieć zapewnioną ciągłość dystrybucji, niezakłócaną nieprzychylnymi warunkami pogodowymi.

Program modernizacji sieci to wyczekiwanie przez mieszkańców regionu oraz biznes zwiększenie dostępu do czystej i atrakcyjnej ceno-

wo energii. Jego wykonawcą będzie Grupa Energa, pełniąc kluczową rolę w procesie strategicznej transformacji polskiej energetyki – powiedział Ireneusz Fąfara, Prezes Zarządu ORLEN.

Rozwój źródeł odnawialnych jest dla nas priorytetem. Aby było to możliwe, potrzebna jest też sprawnie działająca, inteligentna sieć dystrybucyjna. Przygotowujemy się więc do modernizacji i rozbudowy sieci o bezprecedensowej skali, a środki, które udało się pozyskać z Krajowego Planu Odbudowy, zapewniają prawie 20 proc. finansowania całego, 10-letniego planu rozwojowego – dodał Sławomir Staszak, Prezes Zarządu Energa.

- Jesteśmy najbardziej „zielonym” operatorem systemu dystrybucyjnego w Polsce. Dzisiaj około 60 proc. energii elektrycznej płynącej w naszych sieciach pochodzi z odnawialnych

źródeł energii. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom technicznym finansowanym m.in. z Krajowego Programu Odbudowy zapewnimy inwestorom, firmom i mieszkańcom większy komfort i niezawodność dostaw – mówi Robert Świerzyński, Prezes Energa-Operator.

Rola banków w finansowaniu przedsięwzięcia

Środki z KPO, które pozyskała EnergaOperator, mają formę niskooprocentowanej pożyczki udzielonej przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Warto dodać, że wcześniej Grupa Orlen pozyskała od Europejskiego Banku Inwestycyjnego 3,5 mld zł preferencyjnego finansowania programu modernizacji sieci.

Jak mówi Mirosław Czekaj, prezes BGK, Bank Gospodarstwa Krajowego to instytucja z misją na rzecz rozwoju społecz-

no-gospodarczego Polski, dlatego jesteśmy obecni wszędzie tam, gdzie realizowane są inwestycje kluczowe dla naszego kraju. Dzisiejsza umowa pożyczki, choć zawarta na rozwój i modernizację infrastruktury przesyłowej i dystrybucyjnej, ma znacznie większy wpływ. To inwestycje, które warunkują m.in. rozbudowę systemu energetyki rozproszonej – OZE i magazynów energii. Warto podkreślić, że preferencyjne finansowanie infrastruktury sieciowej w dużym stopniu pozwoli na stworzenie podstaw do dalszej dekarbonizacji polskiej gospodarki.

Projekt nie tylko znacząco wesprze transformację energetyczną Polski oraz zwiększy jej bezpieczeństwo energetyczne. Zapewni również odczuwalną zmianę dla konsumenta dzięki zwiększonej liczbie przyłączy, stabilności sieci oraz niższym cenom energii.

WYBORY PREZYDENCKIE SĄ ZUPEŁNIE INNE...

Dokończenie ze str. 4

choć obecny rząd jest u sterów niecałe dwa lata. Mówiłem im wielokrotnie, że przy budowie naszej oferty politycznej musimy brać pod uwagę stan gospodarki. Wielokrotnie powtarzałem też, że nie możemy mówić o prywatyzacji szkolnictwa, bo to jest nierealne i błędne. Tłumaczyłem, że trzeba wprowadzić bon oświatowy...

I oni pana słuchali?

Korwin-Mikke słuchał. Potrafił zmieniać plany, przyjmował argumenty. W programie Kongresu Nowej Prawicy 10 lat temu, którego byłem wiceprezesem, nie było już prywatyzacji szkolnictwa. Był bon oświatowy, który do dziś promuje. To mój autorski pomysł na to, żeby uzdrowić jakoś sytuację w systemie oświaty, i będę go promował tak długo, aż zostanie wprowadzony. Ale są i inne przykłady działań w Konfederacji, polityków tego ugrupowania, na które dziś ciężko się patrzy. Zauważmy, przyłączyli się do chóru antyrządowego, patrząc na Trumpa, który jako ten wybawiciel, ma im pomóc w zdobyciu władzy.

Konfederacja jest w opozycji, to jasne, że będzie występować w antyrządowym chorze...

Ale to jest bardzo dziwny występ, nie rozumiem go. Wcześniej w Konfederacji utrzymywaliśmy zasadę, że polskiemu politykowi mówić jakkolwiek źle o Polsce na zewnątrz nie wolno. Krytykowaliśmy za to np. Platformę Obywatelską. To, co politycy tej partii robili w Parlamencie Europejskim, skarżąc się na rządy wstrętne PiS-u, to był skandal. Ale dzisiaj PiS razem z Konfederacją robią dokładnie to samo, nie tylko w Brukseli, ale i w Stanach Zjednoczonych, donosząc nowej administracji amerykańskiej. Niektórzy posłowie PiS-u wręcz zapomnieli, że są polskimi politykami.

Wracając do Sławomira Mentzena. Są sondaże, które dają mu wejście do drugiej tury prezydenckich wyborów. W niektórych badaniach wyprowadza Karola Nawrockiego, obywatelskiego kandydata PiS.

W tym momencie kampanii, moim zdaniem, wynik Sławomira Mentzena to jest po prostu gigantyczna „pompa”. Ma medialną „ogrywkę” na poziomie ab-



Jeżeli Nawrocki wejdzie do drugiej tury, to weźmie głosy Mentzena

solutnie niewyobrażalnym dla nikogo z tego środowiska. Prowadzi kampanię za bardzo duże pieniądze, z bardzo dużą widocznością, budującą rozpoznawalność. Jest pracowity. Ma bardzo dobrą kampanię i można sobie wyobrazić, że dzięki niej jego wynik może urosnąć. Myślę jednak, że siła Sławomira Mentzena wynika z tego, że Karol Nawrocki jest strasznie słabym kandydatem. W dodatku PiS od razu popełniło kolosalny błąd, próbując go „sprzedać” jako niezależnego kandydata. Wystarczyło wyraźnie określić, że Nawrocki jest z PiS, dzięki czemu najtwardszy elektorat tej partii, liczący 25-30 proc. wie-działby, że głosuje na człowieka od Kaczyńskiego. Jednak zawalili i tak proste zadanie. Dziś widzimy, że Karol Nawrocki nie ma żadnego pomysłu dla siebie. Po prostu jeździ i opowiada różne rzeczy, na czym często wychodzi bardzo źle. Ale nie jest to, że tak powiem, mój cyrk... Niech się tam biją.

Karol Nawrocki miał wyjść poza elektorat PiS, zgarnąć głosy Konfederacji.

Tyle że to Sławomir Mentzen jest atrakcyjnym kandydatem dla młodych ludzi, którzy jeszcze nie widzieli go u władzy. To on jest alternatywą dla establishmentu, a nie Nawrocki. Mentzen jest bardzo popularny w internecie politycznym, króluje tu zdecydowanie. I jeżeli Sławomir Mentzen dochodzi do poziomu, w którym może przeskoczyć Karola Nawrockiego, to w PiS sami są sobie winni. Ktoś tam po prostu nie pomyślał.

To jakie są pańskie przewidywania rezultatu wyborów prezydenckich? Szklanej kuli nie mamy, ale...

Prorokiem się nie czuję, a do tego zadania właśnie ktoś taki byłby potrzebny. Natomiast o pewnych uwarunkowaniach warto powiedzieć. Wybory prezydenckie to nie są wybory sejmowe. Moim zdaniem wiązanie poparcia dla kandydatów na prezydenta z poparciem dla partii politycznych, które reprezentują, to błąd. To nie są wartości jeden do jednego. Proszę zauważyć - mamy śmieszne sondaże zaufania do polityków. Duda ma tam pierwsze miejsce, 60 proc. badanych uważa, że wszystko, co powie obecny prezydent, to jest prawda. Szymon Hołownia ma drugie miejsce, 55 proc. zaufania. Tymczasem w sondażach przed wyborami prezydenckimi, na ten moment, ma od 5 do 8 proc. poparcia. Zatem facet, któremu ufa ponad połowa Polaków, w wyborach prezydenta, tym swoistym plebiscycie na to, kto się najładniej uśmiecha, powinien wygrywać z łatwością... A tak nie jest. Wybory prezydenckie rządzą się po prostu swoimi prawami. Trzeba przede wszystkim spojrzeć obiektywnie na obecny stan prezyden-

ckiego wyścigu. Obecna bijatyka Nawrockiego z Mentzenem przynosi korzyści... Nawrockiemu i Mentzenowi. Kiedy spojrzymy na elektorat, to w przypadku kandydatów PiS i Konfederacji mamy cały czas mieszanie w tym samym kotle. Jeżeli Nawrocki wejdzie do drugiej tury, to weźmie głosy Mentzena, a jeśli kandydat Konfederacji, to przejmie elektorat PiS. Trzeba też zwrócić uwagę, że Rafał Trzaskowski jest przedstawicielem lewicowej części Koalicji Obywatelskiej. Tymczasem decydująca większość polskiego elektoratu, tego, który ma owe 50 proc. głosów plus 1, jest bardziej prawicowa niż lewicowa. I o ile wybory parlamentarne, proporcjonalne, przeliczane metodą D'Hondta, może wygrać partia niekonserwatywna, o tyle specyficzne wybory prezydenckie lewicowemu, liberalnym kandydatom ciężko jest w Polsce rozstrzygnąć na swoją korzyść, co potwierdzają wyniki z przeszłości.

Rafał Trzaskowski nie będzie miał skąd wziąć nowych głosów w II turze? Mówią o tym politycy PiS, kiedy pojawił się sondaż dający drugie miejsce Sławomirowi Mentzenowi.

Ja mam po prostu przestrożę dla tych, którzy tryskają huraoptymizmem widząc, że w sondażach Trzaskowski mający 38 proc., w drugiej turze wygrywa. Jeszcze niedawno miał zwyciężać w stosunku 60 do 40, dzisiaj już 52 do 48. Wybory są dopiero za 2,5 miesiąca, na razie to wrzemy sobie z fusów. A przecież jeszcze debaty przed nami, różne rzeczy mogą się dziać. Natomiast sytuacja, analiza społeczeństwa pod względem politycznych preferencji wymaga, żeby obecny lider był świadomy tego, że nie należy się cieszyć z wyrównanej walki pomiędzy Nawrockim a Mentzenem, bo to po prostu oznacza, że to ci dwaj tę walkę wygrywają. Rozmawiam z „pisowcami” i proszę mi wierzyć, oni śpią spokojnie, śmieją się z tych sondaży, z tego, że jakiś Mentzen depcze im po piętach. Oni są przekonani, że ich najtwardszy, betonowy elektorat, liczący 30 proc. co najmniej, pójdzie do urn. A w drugiej turze o wygranej decydują głosy tego z trzeciego miejsca. Tak było w 2015 roku. To Kukiz zdecydował o zwycięstwie Andrzeja Dudy.

Jaką zdolność koalicyjną mają Konfederacja i Mentzen?

Pytanie jest trudne. Wewnątrz Konfederacji zawsze było przeświadczenie, że jeżeli to ugrupowanie znajdzie się razem z PiS w opozycji, to prędzej czy później partię Kaczyńskiego przeskoczy. Prosta matematyka: PiS ma elektorat w większości 60 plus. Konfederacja jest po prostu bardziej atrakcyjna

dla osób wchodzących na „rynek polityczny”. Zauważmy, wyborcy, którzy byli z Konfederacją od początku, to dziś ludzie mający 30, 35 lat. To jest elektorat, który zaczyna powoli, ale skutecznie, zdobywać dominację po prawej stronie. Oczywiście, na dziś to PiS wydaje się naturalnym koalicjantem Konfederacji, mimo tego, że wcześniej krytykowaliśmy rządy Kaczyńskiego. Dziś obie partie krytykują Platformę, a w Konfederacji nikt na temat PiS nawet się nie zająknął. Zresztą niejeden polityk PiS wysyła regularnie sygnały, że jest „po słowie” z Mentzenem w sprawie wspólnego rządzenia.

Ale były i takie głosy z Konfederacji, że niewykluczona jest współpraca z Koalicją Obywatelską. I zdecydowałaby pewnie kwestia ceny...

To prawda, choć akurat w taki związek mniej wierzę. Nie widzę tu nici porozumienia ideowego. W sprawach gospodarczych owszem, ale one nigdy nie były wiodące w tego typu politycznych układankach.

Pan po odejściu z Konfederacji próbował startu z list Trzeciej Drogi.

Otrzymałem zaproszenie z Trzeciej Drogi i stwierdziłem, że je przyjmę i wystartuję. Wolałem to niż zostać w domu i żegnać się całkowicie z polityką. Bo taką miałem alternatywę po decyzji obecnych władz Konfederacji. Z Trzecią Drogą dogadaliśmy się uczciwie, że jeśli uda mi się wejść do Sejmu, to będę w ich klubie. Nie udało się zdobyć mandatu, ale ja w tym środowisku zostałem. Trzymam kciuki za to, żeby ono rośło, rozwijało się, szczególnie PSL.

CV



Artur Dziambor

ur. 27.01.1982
Doktor nauk o polityce i administracji. Był posłem Konfederacji w latach 2019-2023.
Jest dziekanem Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa w Gdańsku.

Pomorski wojewódzki inspektor sanitarny potwierdził dwa przypadki zachorowań na koronawirusa w naszym województwie. Obie zarażone to kobiety: w wieku średnim i dojrzałym. Obie są mieszkankami naszego regionu. Kobiety w ostatnim czasie przebywały w innych krajach europejskich. Mimo braku objawów, po powrocie zgłosiły się na izbę przyjęć Pomorskiego Centrum Chorób Zakaźnych i Gruźlicy w Gdańsku w celu pobrania próbek - poinformował pięć lat temu w oficjalnym komunikacie Michał Piotrowski, rzecznik prasowy Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku. - Zgodnie z zaleceniami od tego czasu przebywały w domu. Obecnie zgodnie z procedurą zostały ulokowane w Pomorskim Centrum Chorób Zakaźnych i Gruźlicy - dodał rzecznik.

Ten urzędowy komunikat był jednym z pierwszych, jakie zaczęły nas zalewać przez kolejne miesiące. O liczbie zakażonych informował resort zdrowia, oddziały sanepidu, a media od tej ponurej statystyki zaczynały każdy dzień. Ponurej, bo w komunikatach zaczęła się też pojawiać codzienna liczba zgonów z powodu COVID-19.

COVID-19: ta nazwa była odmieniana w Polsce, na Pomorzu, przez wszystkie przypadki. A początkowo wydawało się, że ta choroba zostanie chińską ciekawostką. Przyjmuje się, że wirus, który spowodował światową pandemię, poraz pierwszy pojawił się na tzw. mokrym targu żywności w Wuhan, na którym sprzedawano m.in. żywe zwierzęta. Z kolei chińskie media podawały, że SARS-CoV-2 pojawił się za granicą i został jedynie wykryty w Wuhan. Dowodem na to miała być obecność koronawirusa w zamrożonej, importowanej żywności. Zdaniem części epidemiologów koronawirus mógł już od dawna pojawiać się, niewykryty u nietoperzy, a na targu jedynie doszło do pierwszych zakażeń ludzi. Jest też inna teoria: CIA uważa, że prawdopodobnie pojawił się w wyniku wycieku z chińskiego laboratorium. Pekin oczywiście konsekwentnie zaprzeczał, że Instytut Wirusologii w Wuhan, wiodący ośrodek badań nad koronawirusem, lub Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób w Wuhan były początkowym źródłem wirusa, który zmienił świat, a dla miliardów ludzi był szokiem.

Szok pierwszy: maseczki. Czy po pięciu latach pamiętamy, że trzeba je było nosić wszędzie? Nie tylko w placówkach ochrony zdrowia, ale także na ulicach, w sklepach, kościołach? Widok osoby niezamaskowanej był rzadkością, a za takie zachowanie groził mandat lub nawet sprawa w sądzie. Maseczki jednorazowe, maski z przedziwnymi filtrami, maseczki szyte w domowych pieleszach - powstał cały oparty na nich prze-



Puste korytarze galerii handlowych były jednym z symboli pandemicznych czasów

CO W NAS ZOSTAŁO PO PANDEMII

14 marca 2020 roku na Pomorzu oficjalnie potwierdzono dwa pierwsze przypadki koronawirusa. Zaczęliśmy żyć w czasach pandemicznych. Czy po pięciu latach chcemy o tym pamiętać?

Mariusz Leśniewski

mysł. Niektórzy na tym się dorobili, a nawet obłowili.

Szok drugi: lockdowny. Zamknięto nas w domach. Szczęśliwcy mieli domy z ogrodami, ale większość Polek i Polaków przebywała w więzieniu swoich czterech ścian, bez znaczenia, czy w starych blokowiskach czy w nowych „apartamentowcach”. Do tego dochodziło codzienne bombardowanie tysiącami newsów o koronawirusie. Posiadacze psów mogli je wyprowadzać na spacer, a dla wielu osób rozrywką było... wyrzucenie śmieci na zewnątrz.

Szok trzeci: praca zdalna. Przed pandemią nikt sobie nie wyobrażał, że drenaż pracowników korporacji pozwoli na to, by pracowali w domach „na tim-sach”. Początkowo wydawało się, że to będzie na chwilę: może dwa tygodnie, może miesiąc, bo przecież pandemia nie może trwać wiecznie. Praca zdalna trwała jednak przez długie miesiące, a są firmy, gdzie nadal ma

się bardzo dobrze w tzw. modelu hybrydowym.

Szok czwarty: zamknięcie parków i lasów. „W związku ze stanem epidemii oraz dyspozycją premiera od 3 kwietnia do 11 kwietnia br. włączanie Lasów Państwowych wprowadzają tymczasowy zakaz wstępu do lasu, a Parki Narodowe pozostają zamknięte” - poinformowało Ministerstwo Środowiska wiosną 2020 roku. Do dziś trwają dyskusje, czy było to działanie zgodne z prawem. - Nie będzie już zakazu wstępu do lasów, ale zamknięta będzie infrastruktura towarzysząca, m.in. ścieżki edukacyjne, miejsca biwakowe, parkingi - poinformował 16 kwietnia 2020 r. premier Mateusz Morawiecki. Nadal zamknięte były place zabaw.

Szok piąty: zamknięte galerie handlowe. Ich opustoszałe, szerokie korytarze to jeden z symboli pandemicznych czasów. Centra, gdzie skupiało się życie nie tylko handlowe, ale też towa-

rysko-rozrywkowe, opustoszały, nie licząc spożywców. Symptomatyczne jest to, że po każdym luzowaniu ograniczeń sanitarnych galerie szybko się zapełniały i była to oznaka powrotu do normalności, a wiele osób wyjście do centrum traktowało jak swoistą psychoterapię.

Szok szósty, celowo na koniec, bo wiele osób początkowo nie chciało tego przyjąć do wiadomości: koronawirus naprawdę zabijał, i to nie tylko seniorów czy ludzi zmagających się z chorobami przewlekłymi. Zabijał także osoby młode, które wcześniej nie miały kłopotów ze zdrowiem. To była swoista loteria: można było przejść „kovidą” łagodnie jak przeziębienie albo wyładować w szpitalu pod respiratorem. Oficjalna liczba zgonów już na początku 2022 roku przekroczyła ponad sto tysięcy, a rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek alarmował, że w Polsce jest kilka razy więcej zgonów niż w krajach zachod-

nich. Np. dane z 4 stycznia 2022 roku co do tygodniowej liczby zgonów wskazywały, że w Bułgarii było ich ponad 12 na milion mieszkańców, a w Polsce 11,8 na milion. W Niemczech wskaźnik ten wyniósł 3,2, a w Wielkiej Brytanii mniej niż dwa.

Minęło pięć lat i co zostało w nas po pandemii? Na pierwszy rzut oka - nic. Większość populacji się zaszczepiła (mimo licznych teorii spiskowych), pandemia wygasła. W mediach temat koronawirusa zastąpiła w lutym 2022 roku wojna w Ukrainie. Jednak, zdaniem ekspertów, COVID-19 zostawił w nas ślady, mimo że już wyparliśmy go z pamięci. W przypadku młodych ludzi mówi się nawet o „pokoleniu koronawirusa”.

Naukowo tym tematem zajmowała się m.in. dr Lucyna Myszkowska-Strychalska. Socjoterapeutka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zaznacza, że pandemia przyczyniła się do zwiększenia zaintere-

sowania młodych ludzi osobistym dobrostanem, ale jednocześnie nasiliła w nich lęk, stres i poczucie bezradności, co może prowadzić do zachowań biernych, zarówno jeśli chodzi o życie prywatne, zawodowe, jak i społeczne. W najgorszej sytuacji są te młode osoby, którym okres lockdownów wypadł podczas pierwszych trzech lat szkoły podstawowej lub zaczęli naukę w szkole średniej i - zamiast integrować się w nowym środowisku - trafili na naukę zdalną.

W okresie pandemicznym zwiększył się również poziom zaburzeń psychicznych, a skutki tego odczuwalne są do dziś. Według Doroty Żołnierczyk-Zredy z Centralnego Instytutu Ochrony Pracy z badań prowadzonych zarówno w Europie, jak i w państwach pozaeuropejskich, wynika, że w tym okresie obserwowano znaczące pogorszenie wskaźników zdrowia psychicznego, w tym występowanie depresji. W przeprowadzonej w 2020 roku metaanalizie takich badań obejmujących populacje Chin, Hiszpanii, Włoch, Iranu, USA, Turcji, Nepalu i Danii wykazano znaczące średnie wzrosty poziomu lęku (z 6,33% przed pandemią do 50,9% po jej wybuchu), zespołu stresu pourazowego (z 7% do 53,8%), stresu (z 8,1% do 81,9%) i depresji (z 14,6% do 48,3%). W Polsce kompleksowych badań w tym zakresie nie przeprowadzono, ale psychiatrzy wskazują, że z powodu lockdownu zwiększyła się zapadalność na zaburzenie lękowe, zaburzenia afektywne oraz zaburzenia snu. - Wydaje się, że jest większa statystyczna skłonność osób, które przeżyły COVID-19, do wykazywania zaburzeń lękowych i depresyjnych - mówił Onetowi dr hab. Krzysztof Krajewski-Siuda, psychiatra.

Przedmiotem dyskusji są nadal takie kwestie postpandemiczne, jak obniżenie się jakości edukacji, pogłębienie nierówności wśród uczniów czy wreszcie „mgła covidowa”, która ma - nawet jeśli tego nie zauważamy - wpływać na nasze możliwości poznawcze. Osobną kwestią są sprawy gospodarcze: pandemia, która zastopowała na pewien czas łańcuchy dostaw, wywołała też wzrost cen, który, np. w motoryzacji, utrzymuje się do dzisiaj. Drogie samochody to także skutek COVID-19. Inna branża, gastronomiczna, nadal podnosi się po pandemii, a bankructwa w tym sektorze były normą.

„Nie będziemy mogli żyć normalnie po pandemii” - takich alarmistycznych tytułów w mediach było więcej. Jednak życie szybko do normy wróciło - tak jak zawsze po każdej wojnie, katastrofie czy klęsce żywiołowej. I tak do następnej pandemii?

W pierwszych dniach 2025 roku światowe media informowały o niepokojącym wzroście przypadków zakażeń wirusem metapneumowirusa ludzkiego (HMPV) w Chinach...

NAJSTARSZA PIZZERIA W POLSCE SKOŃCZYŁA 50 LAT I TRZYMA SIĘ NIEŹLE

8 marca 1975 r. w Słupsku zdarzył się gastronomiczny cud. W znanym z niskich cen społeczeństwowym barze mlecznym Poranek właściciel zaserwował gościom „włoską pizzę”. I tak powstała pierwsza pizzeria w Polsce!

Wojciech Frelichowski

Pizzeria przy barze Poranek nadal należy do Społem PSS w Słupsku. Wypiekana od 50 lat pizza, według niezmienionej receptury, jest dumą firmy.

Pizza do Słupska przywędrowała z Italii w połowie lat 70. ubiegłego wieku za sprawą dyrektora słupskiej gastronomii Tadeusza Szoldry. Smak włoskiego placaka poznał podczas targów kuliarnych w Mediolanie. Spodobało mu się i postanowił pizzę przywieźć do Polski.

- W 1973 roku z okazji święta gazety „L'Unita”, organu partii komunistycznej Włoch, zaproszono do Mediolanu gastronomików ze Słupska. Delegacja udała się do Włoch w składzie: Tadeusz Szoldra, Jan Gęsicki, Stanisław Szumski, Henryk Błaszczak, Mieczysław Raszkiewicz, wszyscy ze Słupska, oraz

dyrektor Departamentu Handlu i Usług w Warszawie Benon Tabernacki. W miejskim parku z okazji ich święta zastawili stoły smakołykami ze słupskiej karczmy Pod Kluką, serwując dania we własnym wnętrzu. I właśnie wtedy z Mediolanu przywieziono pomysła na słupską pizzę - wspomina Józef Kulikowski, jeden z bliskich współpracowników Tadeusza Szoldry.

Ale zanim zaczęto ją wypiekać w mieście nad Słupią, trzeba było stworzyć miejsce do tego wypieku i konsumpcji, czyli pizzerię. W barze Poranek przy ul. Wojska Polskiego wygośpodarowano małe pomieszczenie, niespełna 20 mkw. Tadeusz Szoldra nakreślił koncepcję, a opracowanie dokumentacji rysunkowej projektu wykonał Józef Kulikowski. Inwentaryzacja obiektu wskazywała na niewielkie możliwości, a jednak gastro-

nomicy zrobili technologię i wyszło dobrze.

- Kiedy przedstawiłem wykonane rysunki, Tadeusz Szoldra zaakceptował je bez poprawek - opowiada Józef Kulikowski.

Pośrodku pomieszczenia stanął piec do wypieku z trzema komorami. Zbudowany został z cegły kanalizacyjnej, która była prosta i miała ładny kolor, natomiast jego wnętrze wyłożono cegłą szamotową. Jak wspomina Józef Kulikowski, piec zbudował pan Jotejko, zdun współpracujący z Zakładem Kompleksowych Wdrożeń, którym kierował Tadeusz Szoldra.

Tylna część pieca z wnęką techniczną została zastąpiona elementem metaloplastyki wykonanym przez Tadeusza Czaplńskiego, słupskiego metaloplastyka.

Piekarniki wraz z grzałkami i drzwiczkami wykonano we

własnym zakresie przez ślusarza i kowala zakładu.

Od strony okna do pieca została ustawiona lada z blatem roboczym i tzw. wydawką.

Lampy oświetleniowe zostały wykonane z... butelek po przyprawach magi przez odciecie dna, a oprawki żarówek umocowano w szyjce butelki.

- Konstrukcje belkowe i bazerię wykonano z drewna sosnowego. Belki zostały ociosane toporem ciesielskim przez stolara Henryka Nowackiego. Całość konstrukcji wybarwiono na brąz. Sufit wykonano z półokrągłych i przykryto matą - opisuje detale Józef Kulikowski.

Lokal otwarto 8 marca 1975 roku. Była to pierwsza pizzeria w Polsce. Do tej pory funkcjonuje w tym samym miejscu, podobnie zresztą jak bar Poranek.

Niezmieniona jest także receptura wypieku tej pizzy sprzed

pięćdziesięciu lat. Początkowo była serwowana między innymi z farszem z baraniny, suszonych grzybów, jajkiem czy wędzoną makrelą.

- Pierwszym kucharzem, który pracował nad recepturą i pierwszymi wypiekami, był Stanisław Józwin - przypomina Józef Kuligowski.

Obecnie są dostępne trzy ulubione smaki pizzy: z farszem z pieczarek, z kiełbasy i z boczku. Przedstawiciele Społem PSS podkreślają, że tajemnicą smaku są odpowiednio dobrane proporcje składników, a także sposób przygotowania i pieczenia pizzy.

Od samego początku pizza wypiekana jest w tym samym elektrycznym piecu. Jest on włączany o szóstej rano i przez cztery godziny nagrzewa się, aby o godzinie dziesiątej rozpocząć pieczenie pierwszych pizz.

Choć w Słupsku nie brakuje pizzerii, to do lokalu przy barze Poranek od poniedziałku do soboty zaglądają setki smakoszy. Bardzo często jest tak, że trzeba odstać kilkanaście minut w kolejce. Jednego dnia pizzeria może wypieć maksymalnie sześćset pizz.

- Poza sezonem zwykle dziennie słupszczenie i goście naszego miasta kupują około czterystu pizz - informują przedstawiciele Społem.

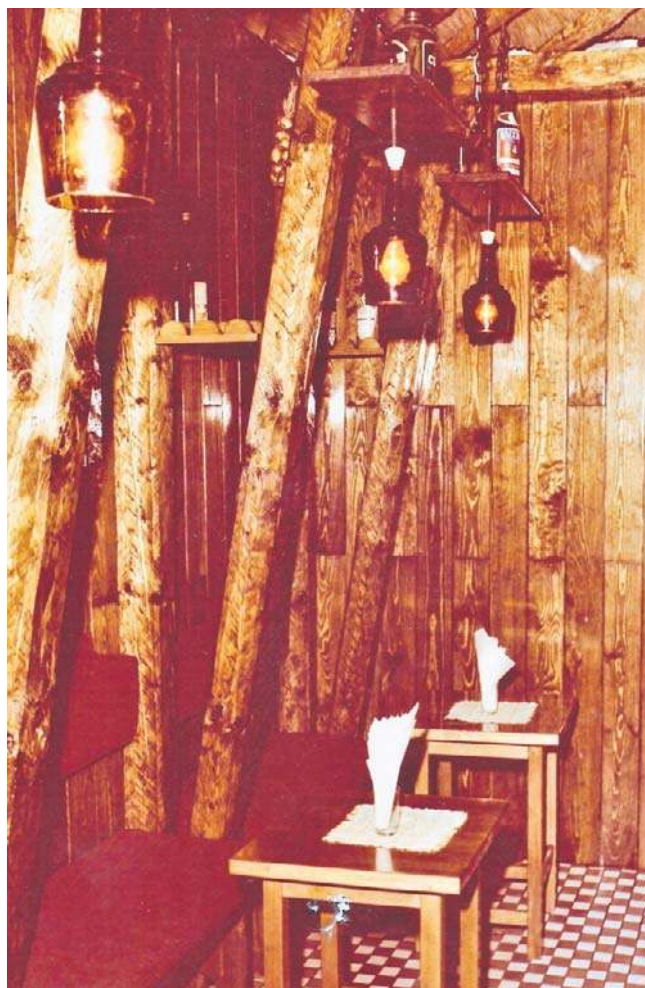
W internetowych komentarzach wielu byłych słupszczan, którzy mieszkają w innych częściach Polski, a także za granicą, można wyczytać, że kiedy odwiedzają swoje rodzinne miasto, nie mogą sobie odmówić wizyty w pizzerii przy Poranku i pocucia tego oryginalnego zapachu o poranku. Zebrała ona także świetne recenzje od znanego blogera kulinarnego - Książuła. ©



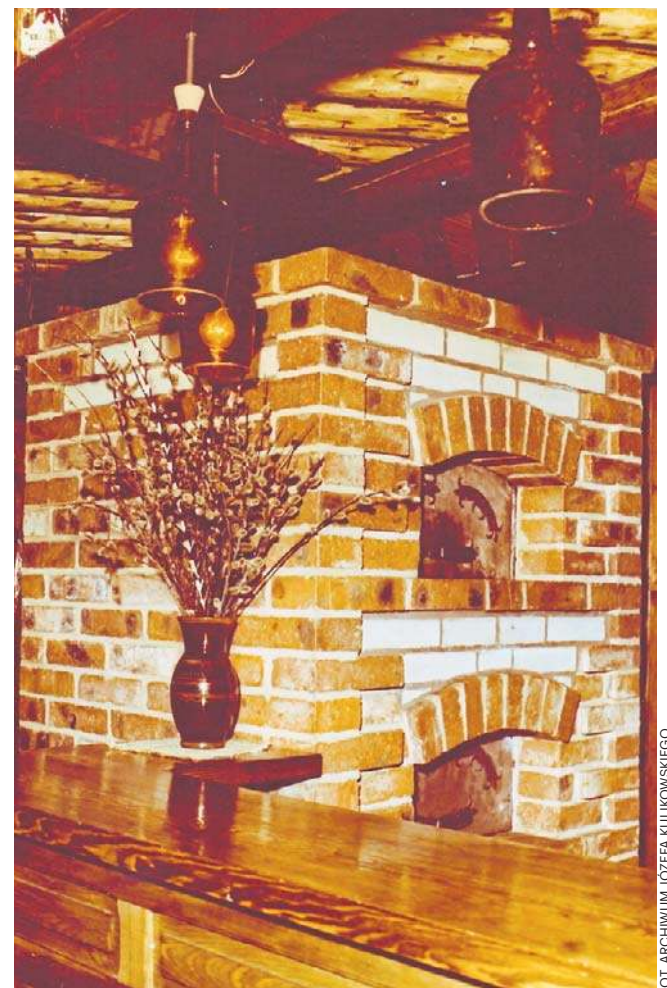
FOT. ARCHIWUM JÓZEFA KULIKOWSKIEGO



FOT. ARCHIWUM JÓZEFA KULIKOWSKIEGO



FOT. ARCHIWUM JÓZEFA KULIKOWSKIEGO



FOT. ARCHIWUM JÓZEFA KULIKOWSKIEGO

Drewno, ceglany piec, pizza z kiełbasą, pieczarkami i boczkiem - tak było w 1975 roku i tak jest do dzisiaj

Wiwisekcji wiecznie żywego mitu o 10 procentach potencjału mózgu dokonali, a w zasadzie opisali ją Scott O. Lilienfeld, Steven Jay Lynn, John Ruscio i Barry L. Beyerstein, autorzy książki „50 wielkich mitów psychologii popularnej”. Według badań zebranych i prześledzonych przez autorów, obszary mózgu nieużywane z powodu urazów czy choroby zwykłe ulegają degeneracji lub zanikają. Nie ma koła zapasowego, magazynu z neuronami na czas nieokreślony. Mamy do wykorzystania to, co mamy. Ale to wcale nie jest tak mało. W ludzkim mózgu istnieje około pięciu milionów kilometrów połączeń nerwowych, czyli połączeń między komórkami mózgu. Pięć milionów kilometrów to kilkanaście razy więcej, niż wynosi odległość z Ziemi do Księżyca. W czasach totalnego rozleniwiania szarych komórek, ChPT czy zalewającej nas papki mediów społecznościowych i to może nie być wykorzystane.

A skąd wziął się ten mit, w który do dzisiaj wierzy tak wiele osób? Być może jego źródło należy szukać w wypowiedziach amerykańskiego psychologa Williama Jamesa, który rozważał, że przeciętny człowiek wykorzystuje zaledwie 10 procent swojego potencjału intelektualnego. Po latach słowa o potencjale zaczęły ewaluować i w przestrzeni publicznej pojawiło się znane już nam twierdzenie, do którego wszyscy się przywiązali. Czas najwyższy się z nim jednak pożegnać, zwłaszcza że nad samym potencjałem trudniej się w naszych czasach pracuje, niż w czasach Jamesa, który zmarł na początku XX wieku. Nie śnił nawet o współczesnych rozpraszaczach w postaci Facebooka, TikToka czy streamingowych gigantach typu Netflix.

Dominujące półkule

Nie jest to jedyny z mitów, które nam towarzyszą od lat. Z okazji obchodzonego 18 marca Europejskiego Dnia Mózgu, kilka z nich dzisiaj zdemaskujemy. Ile razy zastanawialiście się, która z waszych półkul mózgu jest dominująca? A może kiedyś zapisaliście się na kurs, żeby podkreślić tę bardziej kreatywną? Przykro mi, ale padliście ofiarą marketingowców, którzy chcieli wam sprzedać przyjemne złudzenia o ludzkim potencjale. Mit o półkulach mózgu mówi, że ludzie są albo „prawopółkulowi” (kreatywni, intuicyjni, artystyczni), albo „lewopółkulowi” (logiczni, analityczni, matematyczni). Tak, półkule się różnią, bo mózg jest niezwykle dziełem natury. Ale nie różnią się aż tak bardzo. To nie jest tak, że lewa jest nudnym księgowym, a prawa kreatywnym



W ludzkim mózgu istnieje około 5 milionów kilometrów połączeń nerwowych. To kilkanaście razy więcej, niż wynosi odległość od Ziemi do Księżyca

NIE WIERZCIE W MITY O MÓZGU. PRAWDA MOŻE TEŻ ZASKOCZYĆ

Lubicie czasem się rozmarzyć, co by było, gdybyśmy używali 100, a nie tylko 10 procent mózgu? Jeśli tak, ulegliście powszechnemu mitowi o mózgu

Anna Szalkowska

nym twórcą i mistrzem Zen w jednym. I raczej nie trzeba ich sztucznie synchronizować, aby działały sprawniej. Radzi sobie bez tego. Oczywiście, jeśli jesteśmy ciekawi świata, doświadczamy i uczymy się nowych rzeczy. Nuda...

Efekt Mozarta

A może dopadł was efekt Mozarta? Sama przed laty puszczałam swojej małej córeczce muzykę klasyczną, za którą notabene zbyt nie przepadała.

Efekt Mozarta to popularne przekonanie, że słuchanie muzyki Mozarta (lub muzyki klasycznej ogólnie) może zwiększać inteligencję, zwłaszcza u niemowląt. Mit ten wynikał z badań przeprowadzonych w 1993 roku przez Rauschera i współpracowników, którzy zauważyli krótkotrwałą poprawę zdolności przestrzennych u studentów po wysłuchaniu sonaty Mozarta. Dziś uważa się, że efekt ten wynika raczej z chwilowego pobudzenia mózgu i po-

prawego nastroju niż z rzeczywistego wzrostu zdolności poznawczych.

Weryfikujemy wszystko. Po prostu

Książka, o której wspominałam na początku tego tekstu, została wydana kilkanaście lat temu. Od tego czasu wiele się zmieniło. Wiedza podwaja się – w coraz krótszym czasie. Czy to znaczy, że część mitów poddanych analizie przez autorów po-

TO, CO WARTO PRZEJĄĆ OD TYCH POGROMCÓW MITÓW, TO NAWYK ANALIZY INFORMACJI, Z KTÓRYMI SIĘ SPOTYKAMY. ZWŁASZCZA W NASZYCH CZASACH

lega jednak na prawdzie? Raczej nie. Ale jeśli coś warto przejąć od tych pogromców mitów, to nawyk analizy informacji, z którymi się spotykamy. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy wpływają na nas clickbaitowe nagłówki, deepfake i gładko wchodzące teorie spiskowe. Algorytmy promują treści angażujące, ale zwykle nieprawdziwe. W dodatku często błędnie interpretowane są badania naukowe. Najlepiej weryfikować źródła i myśleć krytycznie. No i warto w końcu zadawać sobie pytania, dużo pytać. Zadajmy więc sobie pytanie podstawowe...

Po co nam mózg?

Urszula Dąbrowska, biologka, dziennikarka, pisarka, autorka książki „Życie towarzyskie mózgu”, w przystępny sposób przekazuje śmiertelnikom z pozanaukowej rzeczywistości wiele informacji. W swoim podcaście o mózgu zadaje prowokacyjne pytania: po co nam mózg? Trzy nieoczywiste powody, dla których mamy mózg, są następujące: jest nam potrzebny, żeby się ruszać, odczuwać emocje i radzić sobie z życiem społecznym. Przyjmuje się, że ludzki mózg zrobił się taki duży w proporcji do ciała człowieka, bo musiał ogarniać, co się dzieje między ludźmi.

Pani Urszula opowiada także o płatach czołowych. Zanim jednak dojdziemy do płatów, przypomnijmy umowny podział na trzy części naszego „centrum dowodzenia”. Najstarsza część naszego mózgu to mózg gadzi: mózdzek i pień mózgu. Młodsza, czyli mózg ssaczy, to układ limbiczny. Z kolei najmłodsza ewolucyjnie i najbardziej rozwinięta to kora mózgowa, zwana też korą nową, która leży na tych starszych częściach. Kora mózgowa dzieli się na dwie połowy: prawą i lewą. A każda z tych połówek składa się z czterech płatów. To właśnie płaty czołowe. My natomiast chcemy się skupić na przedniej ich części, czyli płatach przedczołowych.

W przeciwieństwie do reszty mózgu, kora przedczołowa osiąga dojrzałość dopiero w połowie trzeciej dekady życia. Niedojrzała sprawia, że nastolatkami i młodymi dorosłymi rządzą impulsy. Zachowania ryzykowne, życie chwilą, rzucanie się na głęboką wodę, brak planowania, kiepska ewaluacja wydarzeń, słaba ocena zagrożeń – to efekty tej niedojrzałości właśnie. Dojrzałe płaty inte-

grują informacje, aby podejmować złożone decyzje. Płaty czołowe robią, co mogą, aby umieszczać na osi czasu wszystko, co się dzieje w naszym życiu. Kora przedczołowa próbuje być dyrygentem wszystkich spraw, które dzieją się w mózgu. Nadaje im hierarchię ważności, kontroluje emocje i impulsy. Płaty czołowe są bardzo chimeryczne. Nie tylko niedojrzałe potrafią nam skomplikować życie. Im jesteśmy starsi, tym gorzej działają. Dlatego starsze osoby też mają problemy z kontrolą emocji i oceną sytuacji. Ale nie trzeba się starzeć, żeby nasza kora przedczołowa działała słabo: wystarczy być chorym, niewyspanym czy głodnym. I już wiadomo, dlaczego czasami – chociaż niegłupi z nas ludzie – zachowujemy się tak niedojrzale.

Podsumowanie

Europejski Dzień Mózgu ma na celu przypominać o znaczącym wpływie naszego stylu życia na funkcjonowanie naszego organizmu. Pierwsze, co mi przychodzi od głowy, to optymalna, czyli mniejsza dieta cyfrowa. Łatwo powiedzieć, prawda? Na przystanku zobaczyłam dziś reklamę „Wszyscy jesteśmy tubylcami cyfrowymi”. I to prawda. Z opublikowanego Raportu Digital 2025 Global Overview wynika, że aż 5,56 miliarda ludzi to aktywni użytkownicy internetu, a liczba użytkowników mediów społecznościowych osiągnęła 5,24 miliarda. Chodzi nas po świecie około 8 miliardów. Średnio użytkownicy internetu są w sieci 6 godzin i 38 minut dziennie. Zmniejszenie pewnie bardzo by poprawiło kontakt z mózgiem i całym ciałem.

Co jeszcze możemy zrobić? Duże znaczenie odgrywa właściwe odżywianie, które jest istotne dla prawidłowego funkcjonowania całego organizmu człowieka, a zwłaszcza dla mózgu.

Zdrowy mózg wspiera dieta bogata w warzywa, owoce, orzechy, pełne ziarna, kwasy omega-3, witaminy (B, D, C, A, E) i minerały (magnez, cynk, żelazo). Ważne jest nawodnienie i antyoksydanty. Szkodzą mu papierośy, cukier, fast food, alkohol, nadciśnienie i cukrzyca. Aby dbać o mózg, warto regularnie się badać, zdrowo odżywiać, unikać używek, ruszać się, wysypiać i stymulować umysł poprzez naukę oraz rozwój intelektualny.

Tylko tyle? Aż tyle. Dobrego świętowania.

Panie profesorze, wiosenne przesilenie to fakt naukowy czy raczej wymówka, którą stosujemy, by usprawiedliwić zmęczenie i brak energii?

Z medycznego punktu widzenia nie istnieje jednostka chorobowa o nazwie „przesilenie wiosenne”. Nie mamy klinicznego rozpoznania, które pozwalałoby je jednoznacznie zdefiniować. Co więcej, w medycynie opartej na faktach, czyli evidence-based medicine, nie znajdziemy wytycznych dotyczących tego, jak postępować w przypadku zmiany nastroju czy spadku energii wiosną. Jeśli jednak odczuwamy objawy, które tradycyjnie przypisuje się przesileniu wiosennemu, i wpływają one znacząco na nasze funkcjonowanie – na przykład nie jesteśmy w stanie pracować i musimy wziąć zwolnienie lekarskie, ograniczamy kontakty z rodziną i znajomymi z powodu zmęczenia czy przestajemy angażować się w aktywności, które zwykle sprawiają nam przyjemność – warto poszukać rzeczywistej przyczyny zdrowotnej, zamiast przypisywać to wyłącznie zmianie pory roku.

Co w takim razie może powodować wiosenne zmęczenie?

Istnieje kilka możliwych przyczyn. Objawy, które kojarzymy z przesileniem wiosennym – takie jak obniżony nastrój, brak energii, senność czy wzmożona męczliwość – mogą być związane, na przykład, z depresją sezonową. Choć zwykle kojarzy się ją z okresem jesienno-zimowym, u niektórych osób nasilenie objawów może występować również wiosną i latem, choć jest to rzadsze. Jeśli obserwujemy u siebie symptomy typowe dla zespołu depresyjnego, które powodują pogorszenie naszego funkcjonowania – obniżony nastrój, brak radości z codziennych aktywności, poczucie przewlekłego zmęczenia, poczucie winy, zaburzenia snu czy tendencję do przybierania na wadze – warto skonsultować się z lekarzem psychiatrą lub z psychologiem.

Depresja sezonowa to jedna z możliwych przyczyn. Jakie są inne?

Drugą grupą osób, które mogą odczuwać pogorszenie samopoczucia wiosną, są ci, którzy ciężko przechodzili sezon infekcyjny jesienno-zimowy. W tym roku mieliśmy bardzo dużo przypadków grypy typu A i B, infekcji wirusem RSV oraz COVID-19. Osoby, które przeszły kilka zakażeń lub jedną cięższą infekcję, mogą po prostu nie być jeszcze w pełni sił. Warto pamiętać, że powrót organizmu do pełnej sprawności po chorobie może trwać dłużej niż nam się wydaje. Trzecią grupą są alergicy. Początek wiosny to czas intensywnego pylenia wielu roślin, co u osób

PRZESILENIE WIOSENNE TO WYMÓWKA, A NIE MEDYCZNE ROZPOZNANIE

– Nie istnieje klinicznie coś takiego, jak przesilenie wiosenne – mówi dr hab. Tymoteusz Żera, fizjolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

Anita Czapryn

z alergiami może prowadzić do nasilenia objawów – zmęczenia, senności, osłabienia. Co ciekawe, nie wszyscy wiedzą, że ich złe samopoczucie ma podłoże alergiczne. Czasem przypisujemy je ogólnemu przesileniu, a tymczasem może to być pierwszy sygnał, aby skonsultować się z alergologiem.

Skąd w takim razie tak silne zakorzenienie wiosennego przesilenia w naszej kulturze?

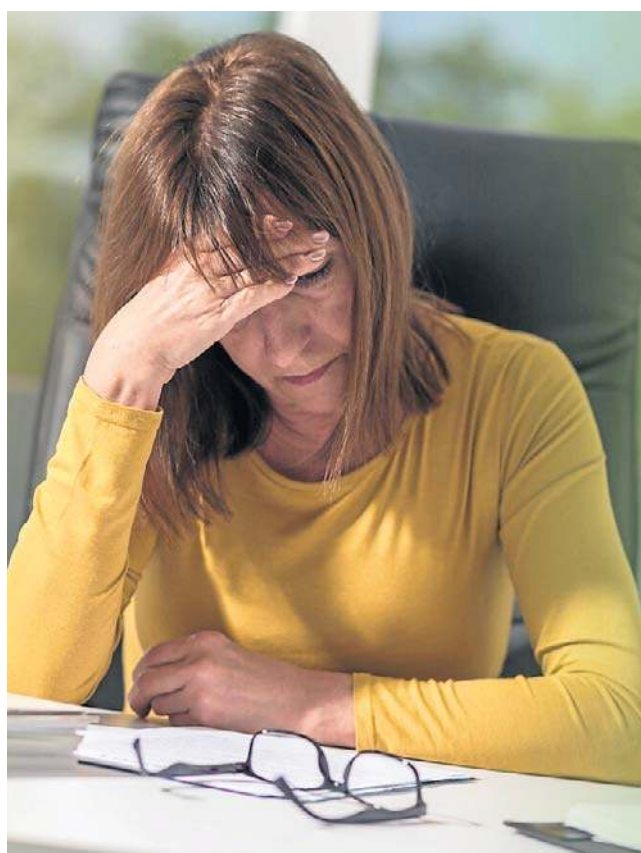
To pojęcie funkcjonuje nie tylko w Polsce, ale w całej Europie Północnej, i wynika z dawnych realiów życia. Kiedyś okres wiosenny był czasem niedoborów...

Nasi dziadkowie i babcie nazywali go przednówkiem.

To był czas, kiedy kończyły się zimowe zapasy, a nowe plony dopiero zaczynały rosnąć. Ludzie byli osłabieni, niedożywieni, brakowało im witamin i minerałów. Jednocześnie wraz z nadejściem wiosny rozpoczynał się okres intensywniej pracy – człowiek, wyczerpany zimą, musiał wejść w nowy cykl życia i aktywności. To historyczne doświadczenie przetrwało w naszej kulturze i do dziś: gdy czujemy się zmęczeni na wiosnę, sięgamy po termin „przesilenie wiosenne”, choć w rzeczywistości jego źródła mogą być zupełnie inne – zarówno psychiczne, jak i fizyczne.

Istnieje w nas biologiczny zegar, który działa w rytmie pór roku? Zimą zwalniamy, jemy więcej i mniej się ruszamy, a wiosną, gdy słońce wraca, pojawia się przepływ energii, więc powinniśmy czuć się pełni sił, choć często tak nie jest?

Zdecydowanie mamy chronobiologię funkcjonowania organizmu, ale jej podstawowym rytmem jest cykl światłociemność, czyli rytm dobowy. To on przede wszystkim warunkuje naszą cykliczność: wpływa na wydzielanie hormonów, zmiany ciśnienia, aktywność układu autonomicz-



FOT. 123RF

Prof. Tymoteusz Żera: Można powiedzieć, że przesilenie wiosenne to przyjemna wymówka

nego, decyduje o tym, czy jesteśmy senni, czy pełni energii. Doświadczamy tego codziennie. Oczywiście istnieje także pewna sezonowa cykliczność, ale we współczesnym świecie jest ona znacznie słabiej zaznaczona. Żyjemy w sztucznym środowisku: mamy klimatyzację latem, ogrzewanie zimą, sztuczne światło. Mimo to pewne sezonowe zmiany są zauważalne, ale są one subtelne. Przykładowo w okresie jesienno-zimowym obserwuje się tendencję do przybierania na wadze. Podobnie w układzie krążenia – w populacji można zauważyć niewielki wzrost ciśnienia tętniczego zimą i jego obniżenie w cieplejszych miesiącach letnich. Warto też pamiętać, że przesilenie wiosenne ma dla nas duże znaczenie kulturowe. Okres równonocy wiosennej to moment, gdy dzień najszybciej się wydłuża, a nasz zegar biologiczny

musi się do tego dostosować. Dodatkowo dochodzi jeszcze zmiana czasu na letni, co dla wielu osób jest trudnym doświadczeniem.

Światło słoneczne na wiosnę wpływa na nasze hormony? Czy po zimie, gdy metabolizm zwalniał, organizm zaczyna działać inaczej?

Trudno mówić o dużej zmienności hormonalnej w cyklu rocznym. Bardziej wyraźna jest rytmiczność dobowego wydzielania hormonów. Na przykład w nocy mamy największy wyrzut hormonu wzrostu, nad ranem – szczyt wydzielania kortyzolu, po południu najwięcej hormonów tarczycy. Ta cykliczność jest stała i ściśle powiązana z rytmem dnia i nocy. W skali całego roku nie obserwujemy aż tak znaczących zmian hormonalnych, choć można mówić o pewnych strategiach adaptacyjnych organizmu do tempe-

Dziennik Bałtycki
Piątek, 14.03.2025

ratury. W Europie Środkowej i Północnej typową reakcją jest zwiększenie izolacji termicznej, czyli przyrost tkanki tłuszczowej zimą, czemu może towarzyszyć wzrost tempa przemiany materii, ale nie zawsze. Są też osoby, które adaptują się do chłodu inaczej – przez spowolnienie metabolizmu, co przypomina trochę mechanizm stosowany przez zwierzęta zmiennoциenne. Natomiast hormonem, który rzeczywiście jest silnie związany zarówno z cyklem dobowym, jak i z porami roku, jest melatonina.

Czy to znaczy, że gdy zaczyna się ściemniać, robimy się senni?

Wydzielanie melatoniny zaczyna się wcześniej, zanim faktycznie pocujemy zmęczenie. Co ciekawe, osoby, które mają uszkodzoną szyszynkę lub nie odbierają bodźców świetlnych z otoczenia, mają rozregulowany rytm dobowy – ich biologiczny zegar przesuwają się, a cykl dobowy staje się nieco dłuższy niż standardowe 24 godziny. W takich przypadkach stosuje się melatoninę o określonych porach, aby zsynchronizować organizm z rytmem dnia i nocy. Okres równonocy wiosennej jest momentem, w którym nasz organizm musi się najszybciej dostosować do zmian – dzień gwałtownie się wydłuża, a noc skraca. Im dalej na północ, tym te zmiany są bardziej wyraźne. Choć nie są to drastyczne procesy, nasz układ hormonalny i nerwowy musi się do nich adaptować.

Nasz organizm reaguje na gwałtowne zmiany temperatur: jeśli jednego dnia chodzimy w czapkach i rękawiczkach, a następnego nagle robi się 19 stopni, to czy ciało nie doznaje szoku?

To zupełnie inny obszar interakcji organizmu ze środowiskiem niż wydłużenie dnia i rytm dobowy. Nagły wzrost temperatury wymaga od nas adaptacji: organizm musi efektywniej usuwać nadmiar ciepła, szczególnie podczas wysiłku fizycznego. To oznacza uruchomienie mechanizmów termoregulacyjnych: zaczynamy się pocić, zwiększa się przepływ krwi przez skórę, aby odprowadzić ciepło z wnętrza ciała i ułatwić jego oddawanie na zewnątrz. Te zmiany stanowią dodatkowe obciążenie dla układu krążenia. Może się więc zdarzyć, że jeśli ktoś spędził zimą głównie siedząc na kanapie, to wiosenna aktywność w cieplejszych warunkach będzie dla niego szczególnie męcząca. Jest jeszcze kwestia kulturowa – mamy tendencję do ubierania się zbyt ciepło. Nawet gdy ranki są chłodne, a w ciągu dnia temperatura wzrasta, często pozostajemy w grubych kurtkach. Nasze

ciało musi wtedy wykonać dodatkowy wysiłek, by utrzymać odpowiednią temperaturę. **Jak mieć więcej energii na wiosnę? Są sposoby, które pomogą nam lepiej wejść w ten sezon, uniknąć zmęczenia, więcej się ruszać? Czy warto wspierać się witaminami? Coraz częściej słyszę, że mamy duże niedobory witaminy D i powinniśmy suplementować ją przez cały rok, bo wpływa na nastrój i samopoczucie. A co z innymi formami dopingu: kawą, energetykami?**

Zacznę od tego, że szukanie „dopingu” nie jest najlepszym rozwiązaniem. Jeśli chodzi o witaminę D3, rzeczywiście większość osób w Europie ma jej niedobory, dlatego zaleca się suplementację. Choć nie ma jednoznacznych dowodów na to, że przyjmowanie tej witaminy znacząco poprawia nastrój, to badania pokazują, że jej niedobór może być związany ze spadkiem samopoczucia. Ponieważ większość z nas ma za niski poziom witaminy D3, łatwo znaleźć korelację między jej niedoborem a różnymi problemami zdrowotnymi. Warto jednak pamiętać, że suplementacja powinna być świadoma – dobrze jest sprawdzić poziom witaminy D we krwi, by uniknąć jej nadmiaru, który również może być szkodliwy. Jeśli chodzi o inne witaminy, nie widzę potrzeby ich suplementacji, o ile ktoś nie ma zdiagnozowanych niedoborów. Przy dobrze zbilansowanej diecie niedobory witamin i mikroelementów nie są obecnie powszechnym problemem.

Podsumowując – czy wiosenne przesilenie, o którym tak często się mówi, to tylko mit?

Można powiedzieć, że przesilenie wiosenne to przyjemna wymówka, bo daje nam pretekst do odpoczynku i poleniorowania. Ale jeśli objawy, które mu przypisujemy, rzeczywiście zaburzają nasze codzienne funkcjonowanie – mamy mniejszą wydolność, szybciej się męczymy, czujemy się gorzej niż w poprzednich sezonach, mamy duży spadek nastroju – warto poszukać prawdziwej przyczyny. Prawdopodobnie to nie przesilenie, a sygnał, że coś dzieje się z naszym zdrowiem i nie należy tego bagatelizować. Przy okazji warto podkreślić, jak ogromne znaczenie dla naszego samopoczucia mają kontakty społeczne. Relacje z innymi ludźmi wpływają na nasz dobrostan zarówno zimą, jak i wiosną. W dodatku wiosna ma jeszcze jedną istotną zaletę: wraz z jej nadejściem wyraźnie spada poziom zanieczyszczenia powietrza pyłami, co ma ogromne znaczenie dla zdrowia. To dobra wiadomość na wiosnę i na wiosenne przesilenie.

TO JUŻ NIE JEST KINO. JAN JAKUB KOLSKI WALCZY Z DROGĄ W POPIELAWACH

Znany reżyser stał się twarzą protestu przeciw budowie drogi ekspresowej. Broni swojego domu i okolicznych mieszkańców

Anna Gronczewska

O tym, że koło jego domu w Popielawach będzie przebiegać droga ekspresowa S12, reżyser Jan Jakub Kolksi dowiedział się na zebraniu miejscowej społeczności. Tak, ten Jan Jakub Kolksi i w tych Popielawach, znanych z jego filmu „Historia kina w Popielawach”.

Popielawy to niewielka miejscowość koło Tomaszowa Mazowieckiego. To właśnie tędy ma pójść ważna arteria, droga ekspresowa S12, łącząca autostradę A1 koło Łodzi z przejściem granicznym w Dorohusku.

W Łaznowie i okolicznych wsiach na wielu płotach wywieszono transparenty z napisem: „Nie dla S12!”. Mieszkańcy nie chcą tu drogi ekspresowej. Jest wśród nich znany reżyser Jan Jakub Kolksi, który mieszka w rozsławionych przez jego film Popielawach. Droga ma przebiegać 200 metrów od jego domu.

Kiedy koło mnie powstanie ta droga, nie będę chciał tu żyć – mówi Jan Jakub Kolksi. – Sprzedam wszystko i złożę głowę gdzie indziej. Bardzo nie chciałbym tego robić. To miejsce jest moją ojczyzną. Wszystko w moim życiu zawodowym, twórczym wynika stąd!

W Popielawach zamieszkał 15 lat temu. Wiedział, że będzie budowana droga, ale mówiono wtedy o innym przebiegu.

Miała przebiegać przez wieś Rudnik, w gminie Będków – opowiada Jan Jakub Kolksi. – Współczułem mieszkającemu tam mojemu przyjacielowi,

choć droga miała przebiegać stosunkowo daleko od niego.

Tymczasem, jak grom z nieba spadła wiadomość, że zmieniono przebieg S12. Na zebraniu z mieszkańcami przedstawiciele Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad zaprezentowali trzy warianty drogi. W każdym przebiega przez gminę Rokiciny, gdzie leżą Popielawy.

– Nie wiem, co myślał rysownik, który je kreślił, bo nie nazwę go projektantem – twierdzi reżyser. – Jakże przesłanki zadecydowały o takim przebiegu drogi? Ja nie widzę żadnych racjonalnych. Stało się to nagle, bez wcześniejszych konsultacji.

Najbardziej niebezpieczny dla Jana Jakuba Kolskiego jest wariant oznaczony na mapie linią zieloną, zgodnie z którym droga ma przebiegać 200 metrów od jego domu. Niewiele różni się od niego niebieski.

– Najbardziej korzystny wydaje się wariant czerwony, bo zgodnie z nim droga przebiega za lasem, który tłumy hałas – twierdzi reżyser. – Ale ten wariant może być korzystny dla mnie, ale już nie dla lokalnej społeczności, która nie chce tej drogi. Ja zresztą też. Nie widzę w tych planach żadnej logiki.

Popielawy to moja mała ojczyzna

Popielawy to dla Jana Jakuba Kolskiego niezwykle miejsce. To tu przeprowadził się 15 lat temu. Kupił teren, na którym spędził swe dzieciństwo, gdzie mieszkali dziadkowie od strony mamy.

– Dla tego miejsca porzuciłem wielkomiejskie życie – wspomina. – Kupiłem tę ziemię od gminy już wtedy za duże pieniądze. Tu była dżungla. Zainwestowałem w to miejsce wszystkie swoje pieniądze.

Reżyser w Popielawach, w miejscu, gdzie teraz mieszka, spędził swoje dzieciństwo. Urodził się we Wrocławiu, ale jako 11-letni chłopiec przyjechał tu do dziadków Szewczyków. Był najmłodszy z trójki rodzeństwa. Rodzinie żyło się ciężko. Tata Roman był montażystą filmowym i zarabiał grosze. Mama nie pracowała, zajmowała się domem. Jana Jakuba wysłano do dziadków w Popielawach. Mieszkał u nich cztery lata.

– To był piękny czas, ale też smutny, bo tęskniłem za rodziną – opowiada Jan Jakub Kolksi. – Pamiętam, jak we Wrocławiu dostawaliśmy paczki z jajkami, mąką. A ja potem nadawałem te paczki i wysyłałem rodzinie. Stąd chodziłem cztery kilometry do szkoły w Popielawach. Potem wróciłem do Wrocławia, gdzie skończyłem liceum. Potem studia w Łodzi.

To właśnie w Popielawach reżyser, jak mówi, zachorował na film. W miejscu, gdzie jest teraz remiza, mieściło się kino „Uśmiech”.

– Przez pewien czas pełniło nawet rolę stacjonarnego kina – dodaje reżyser. – Potem raz w tygodniu przyjeżdżał wujek Janek, który miał w Będkowie kino objazdowe, a raz w miesiącu gościliśmy kino z Łodzi.

Nie zapomni, jak babcia ubierała go w garniturek i szedł oglą-

dać filmy. Taka scena znalazła się w filmie „Historia kina w Popielawach”. Zresztą film zajmował w jego rodzinie szczególne miejsce. Jego pradziadek od strony ojca był właścicielem kina, które mieściło się przy ul. Piotrkowskiej 15 w Łodzi, dziadek pracował w biurach firm zajmujących się wynajmem filmów.

Powrót do krainy dzieciństwa

Po latach w Popielawach urządził swoje miejsce na ziemi. Remontuje teraz dom, w którym kiedyś mieszkali jego dziadkowie. Jest właścicielem parku wpisanego do rejestru zabytków.

– Zaczęły tu wracać ptaki, zwierzęta – opowiada Jan Jakub Kolksi. – W moim ogrodzie są dudki, czarny dzięcioł, czapla, dwie sowy płomykówki, wilgi, kosy, jeżyki. Kiedy powstanie obok S12, hałas wypłoszy wszystkie ptaki. Czapla ma wokół inne stawy, ale z uporem przylatuje do mnie. Ta droga wszystko zniszczy!

Jan Jakub Kolksi opowiada, że na zebraniu w sprawie drogi przedstawiciele GDDKiA zapewniali, że nie będzie wyburzeń. Wtedy głos zabrała jedna z mieszkanki Łaznowy i pokazała na mapie, że nad jej domem ma przebiegać wiadukt! A sprostowała się tu kilka lat temu, by odpocząć od gwaru miasta.

Jan Jakub Kolksi przyznaje, że stał się twarzą protestu mieszkańców gminy Rokiciny. Chce pomóc nie tylko sobie, ale lokalnej społeczności. W Popielawach i Łaznowie mieszka jego rodzina.



– To miejsce jest moją ojczyzną. Wszystko w moim życiu zawodowym, twórczym wynika stąd! – mówi rozgoryczony Jan Jakub Kolksi

Wolę wiejski cmentarz od Alei Zasłużonych

Mieszkańcy Popielaw zbiegali podpisy pod petycją do pochodzącego z województwa łódzkiego ministra infrastruktury Dariusza Klimczaka. W Popielawach nie podpisało jej tylko pięć osób. Natomiast niemal cały pobliski Łaznów jest oblepiony plakatami informującymi, że mieszkańcy gminy nie chcą S12. W sprawę bardzo mocno zaangażowała się mieszkanka Łaznowy, Diana. Założyła nawet na zrzutce.pl profil „Nie dla S-12 w Gminie Rokiciny – Nie dla węzła Rokiciny”. Zebrane pieniądze mają być przeznaczone na plakaty, ulotki. Pomaga jej między innymi Michał, też mieszkaniec Łaznowy.

„7 października ubiegłego roku w Urzędzie Gminy Rokiciny odbyło się spotkanie z GDDKiA i projektantami trasy S-12 – czytamy na stronie zrzutka.pl. – Przedstawiono mapkę z wariantami trasy. Dowiedzieliśmy się, że przebieg trasy nie dotyczy gminy Rokiciny, że trasa planowana jest poza granicami gminy Rokiciny. Zapewnienia, że jesteśmy bezpieczni i że nas to nie dotyczy, padły też ze strony pana wójta. Na koniec stycznia tego roku w GDDKiA w Łodzi zostało zorganizowane spotkanie, na które został zaproszony między innymi wójt Rokiciny”.

Na tym spotkaniu zadano mu kilka pytań. Między innymi, czy jest możliwość niebudowania trasy S12 w gminie Rokiciny? Odpowiedź brzmiała, że raczej nie.

Wójt uważa, że budowa S12 będzie dla gminy oknem na świat, pojawią się nowe możliwości. Może powstaną magazyny czy McDonald?

– Według planów droga miała przebiegać przez gminę Będków – tłumaczy Diana i Michał. – Ale jej mieszkańcy złożyli tyle protestów, że wycofano się z tego. I nas „obdarowano” tą drogą.

Jan Jakub Kolksi przypomniał, że na zebraniu w sprawie budowy S12 wystąpił jeden z byłych samorządowców i powiedział, że jakieś 10 lat temu droga ta miała przechodzić koło Bełchatowa. Tam nikt by się temu nie sprzeciwiał, bo przechodziłaby przez tereny przemysłowe.

– U nas przechodzi przez bardzo dobre ziemie, które zostałyby przegrodzone tą drogą – twierdzi Diana. – My jesteśmy gminą rolniczą, tu żyje się z ziemi, nie z magazynów.

Teraz mieszkańcy gminy Rokiciny będą zgłaszać do GDDKiA swoje uwagi do przedstawionych propozycji przebiegu S12. Liczą, że zostaną uwzględnione. Ich delegacja brała udział w posiedzeniu Rady Gminy Rokiciny. Usłyszeli, że wójt i większość radnych popiera budowę S12 na terenie gminy. Będą więc walczyć sami.

Jan Jakub Kolksi mówi, że chciałby zostać pochowany na cmentarzu w Łaznowie, obok swojej rodziny.

– Ale jeśli się nic nie zmieni, to będę musiał złożyć głowę w Alei Zasłużonych w Łodzi, ale tego bym nie chciał – kończy smutno.

AUTOPROMOCJA

0011287820



**drzewko
za surowce
wtórne**

ODDAJ ELEKTROŚMIECI – ODBIERZ SADZONKĘ!

GODZ. 11.00-14.00

22 MARCA (SOBOTA)
GDYNIA, CENTRUM RIVIERA

29 MARCA (SOBOTA)
GDAŃSK, GALERIA PRZYMORZE
GDAŃSK, CH AUCHAN SZCZĘŚLIWA
SOPOT, SOPOCKI RYNEK NON-STOP
GDYNIA, GALERIA KLIF
RUMIA, CH AUCHAN - PORT RUMIA

PARTNERZY LOKALIZACYJNI



PARTNERZY WSPIERAJĄCY



POCZĄTEK I KONIEC FESTUNG STETTIN

W tym roku mija 80 lat, odkąd Szczecin trafił w polskie ręce. Dziś zapraszamy do rozmowy o tym, jak wyglądał koniec niemieckiego Szczecina. O ciekawostkach związanych z Festung Stettin opowiada Jan Sinius, autor książki „Szczecin 1945: Bitwa narodów”.

Marek Jaszczyński

Kiedy Szczecin został ogłoszony twierdzą i jakie to miało skutki dla miasta i mieszkańców?

Oficjalnie Szczecin został ogłoszony miastem-twierdzą 22 marca 1945 roku. Wielkie miasto było już niemalże wymarłe. Większość mieszkańców zdążyła się do tego czasu ewakuować, a pozostali musieli się bezwzględnie podporządkować rozkazom komendanta twierdzy, który już w pierwszym obwieszczeniu oznajmił w dosadnych słowach, że od tego momentu staje się panem życia i śmierci każdej osoby znajdującej się na obszarze miasta-twierdzy, czy też, że każdy, nawet ostatni niemiecki obywatel, może zostać wysłany przez niego do walki. Jeszcze przed ogłoszeniem miasta twierdzą, mieszkańcy mogli również zobaczyć na własne oczy, jaki los spotykać będzie osoby próbujące pozyskać pożywienie nielegalnie, na własną rękę, bądź żołnierzy uchylających się od walki – a była to kara śmierci, zazwyczaj przez powieszenie. Żywność wydawana była tylko na kartki, z czasem wprowadzono również obowiązek posiadania specjalnego dokumentu upoważniającego do przebywania i pracy na terenie miasta-twierdzy. O bieżących wydarzeniach, a także zarządzaniach komendanta mieszkańcy czerpali informacje z gazetki fortecznej, która drukowana była w podziemiach zrujnowanego domu towarowego naprzeciwko katedry. Prace fortyfikacyjne na terenie oraz w okolicach miasta trwały od stycznia niemalże do ostatnich dni. W lasach, na polach, w parkach i ogrodach kopane były okopy, budowano prowizoryczne schrony bojowe, na ulicach wznoszono zapory przeciwczołgowe i barykady, a także przygotowywano do wysadzenia w powietrze najważniejsze elementy infrastruktury krytycznej, takiej jak mosty, wiadukty, torowiska, urządzenia przeładunkowe w porcie lub magazyny.



Żołnierze niemieckiej 9. Dywizji Strzelców Spadochronowych w marcu 1945 roku na przyczółku dąbskim

Czy realnie miasto mogłoby wytrzymać oblężenie w warunkach całkowitego odcięcia? Jak silny był garnizon? Kto stał na czele?

Pierwszym komendantem twierdzy Szczecin i dowódcą Dywizji Fortecznej „Stettin” był Generalleutnant Werner Hühner, oficer zawodowy piechoty z niemal 37-letnim stażem. W czasie II wojny światowej dowodził on jednostkami biorącymi udział w inwazji na Polskę, Francję oraz ZSRR. Karierę na froncie wschodnim zakończył w 1943 roku, po roku dowodzenia 61. Dywizją Piechoty w ciężkich walkach nad rzeką Wołchow na południowy wschód od Lenina, za które został odznaczony Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego. To on od lutego 1945 roku odpowiadał za przygotowania do obrony Szczecina i sformowanie dywizji fortecznej i był komendantem miasta-twierdzy niemalże do ostatnich dni jej istnienia. Drugim i ostatnim komendantem twierdzy Szczecin był Generalmajor Ferdinand Brühl, doświadczony

oficer artylerii, a w okresie Republiki Weimarskiej również oficer policji. Objął on stanowisko 19 kwietnia i już 25 kwietnia, z powodu beznadziejnej sytuacji na froncie, anulował status miasta-twierdzy dla Szczecina i rozwiązał dywizję forteczną, która od tego momentu nazywana była Grupą Bojową „Brühl”. Choć powstanie Dywizji Fortecznej „Stettin” ogłoszono 22 marca, związek taktyczny ulegał transformacjom aż do ostatniej chwili. Finalnie składał się on z pięciu pułków piechoty, pułku artylerii, fortecznego oddziału artylerii przeciwpancernej, dwóch batalionów karabinów maszynowych oraz szeregu jednostek inżynieryjnych i zabezpieczenia, wśród których znalazła się nawet tak zwana flotylla rozpoznawcza. Ogólna wartość bojowa dywizji została sklasyfikowana jako „zdolna w ograniczonym stopniu do walk defensywnych”, liczebność wynosiła w szczytowym momencie około 7500 żołnierzy, spośród których niemal 1600 stanowiły osoby cierpiące na cho-

roby układu trawienno, średnia wieku żołnierzy wynosiła około 40 lat, a ponadto sama wola walki była w większości przypadków bardzo niska. Broń ręczna składała się z szerokiej gamy karabinów niemieckich, rosyjskich, sowieckich, francuskich, włoskich, norweskich, austro-węgierskich, polskich czy czechosłowackich. Podobnie sytuacja wyglądała z bronią ciężką, ponieważ artyleria „twierdzy Szczecin” składała się w całości z francuskich, czeskich oraz sowieckich armat i haubic – epizodycznie wśród nich pojawiły się także dwie polskie – które w większości były w złym stanie technicznym i posiadały zapasy amunicji wystarczające na maksymalnie 1-2 dni walki, a w przypadku niektórych dział nawet na 3-4 godziny prowadzenia ognia. Problemem był również poziom wykształcenia artylerzystów, ponieważ w niektórych pododdziałach samo przygotowanie do otwarcia ognia zajmowało żołnierzom aż pół godziny. Pewnym atutem była silna ar-

tyleria przeciwlotnicza składająca się ze 111 ciężkich dział na terenie miasta-twierdzy i 157 w bliższym lub dalszym rejonie Polic, a także forteczna artyleria przeciwpancerna składająca się w szczytowym momencie ze 137 dział. Ich dużą wadą było jednak to, że większość spośród nich (zarówno przeciwpancernych, jak i przeciwlotniczych) była przytwierdzona na stałe do swoich stanowisk, w związku z czym nie mogła być ani przemieszczona, ani ewakuowana. Pisząc o załodze miasta-twierdzy, warto dodać jako ciekawostkę, że sami mieszkańcy miasta i okolic stanowili stosunkowo niewielki procent jej szeregow, w składzie szczytowej dywizji fortecznej można było zobaczyć również cudzoziemców – ci jednak nie służyli w jednostkach bojowych, a jedynie w oddziałach inżynieryjnych i roboczych. Byli to między innymi Węgrzy, Gruzini, Ormianie, Ukraińcy, Rosjanie, a przez pewien czas także Łotysze. Lecz wracając do meritum, pomimo dużej ilości zgromadzonego

sprzętu, bardzo dobrze rozbudowanych linii obrony oraz obfitych zapasów paliwa i żywności, miasto nie miało szans na długotrwałe utrzymanie się w przypadku walk w okrążeniu, nawet gdyby jego załoga miała zostać wsparta przez sąsiednie dywizje.

Dlaczego Armia Czerwona toczyła ciężkie walki o likwidację przyczółka dąbskiego? Obawiała się kontruderzenia na skrzydło przed operacją berlińską?

Zgadza się. Istnienie tak dużego przyczółka, na którym znalazły się tak poważne siły, ciągle wzmacniane przez kolejne oddziały, stanowiło poważne zagrożenie dla wojsk operujących na głównym, tj. berlińskim odcinku frontu. Sowietom koniecznie chcieli pozbyć się tego problemu, by nie dopuścić do uderzenia na prawe skrzydło wojsk znajdujących się na berlińskim odcinku frontu, zaś Niemcom zależało przede wszystkim na tym, aby skupić na sobie możliwie jak największą liczbę oddziałów przeciwnika – a była ona ogromna, bo nawet kilkukrotnie przewyższająca liczebność wojsk szturmujących Wrocław, Poznań i Kołobrzeg razem wziętych. Przyczółek atakowany był przez całe dwie armie polowe i armię pancerną, które zostały dodatkowo wzmacnione przez rezerwy frontu, a w szczytowym momencie także przez całą armię powietrzną.

Jak pan ocenia skalę walk?

Była zdecydowanie ogromna. Choć bitwa o przyczółek dąbski trwała dwa tygodnie, walki na nim były niezwykle intensywne i zaangażowane były w nie ogromne masy wojsk. O ich skali i zaciętości mówią same cyfry. W trakcie tych dwóch tygodni strona atakująca straciła 500 uszkodzonych bądź bezpowrotnie zniszczonych czołgów i dział samobieżnych. W ciągu najbardziej intensywnego dnia walk pod Chlebowem i Starymi Brynkami Armia Czerwona straciła więcej czołgów,

FOT. ARCHIWUM JANA SINIUSA

niż wynosiły łączne straty obu stron w trakcie słynnej, tygodniowej bitwy pod Studziankami. W trakcie najgorętszych dni sami Sowieci wystrzelili 100-150 tysięcy pocisków artyleryjskich, granatów moździerzowych i rakiet dziennie. W ciągu zaledwie pięciu dni od momentu wkroczenia na przyczółek jedna z niemieckich świeżo sformowanych dywizji pancernych straciła 1/3 swojego stanu osobowego. Zdarzało się, że w niektórych spośród niemieckich jednostek każdy dzień został odnotowany jako dzień walk wręcz... i takich oraz podobnych przykładów mógłbym tu przytaczać o wiele więcej. Już sam za siebie mówię fakt, że w marcu 1945 roku niemieckie dowództwo nazywało w swoich raportach przyczółek pod Szczecinem środkiem ciężkości oraz filarem całego frontu odrzańskiego.

Czy w czasie walk w Dąbiu Niemcy użyli zdobycznego sprzętu pancernego? Jakiego? W czasie II wojny światowej przy ul. Miłej w Dąbiu mieściło się muzeum zdobycznej broni pancerniej, które posiadało w swoich zbiorach między innymi około stu francuskich, brytyjskich, sowieckich i amerykańskich czołgów. 9 marca 1945 roku Generalny Inspektorat Wojsk Pancernych, a na-

stępnie i dowództwo Grupy Armii „Wisła” wydało rozkaz wykorzystania znajdujących się w nim pojazdów do obrony bądź w charakterze zapór drogowych. Około trzydziestu czołgów zostało następnie rozmieszczonych w specjalnie przygotowanych okopach w rejonie Dąbia, Kijewa i Płoni, pełniąc rolę opancerzonych gniazd karabinów maszynowych, zaś pozostałe czołgi, które nie nadawały się już do użytku, miały zostać uszkodzone wewnątrz hali muzeum - budynek został zdobyty przez Sowieców po całonocnych, zażartych walkach 18 marca 1945 roku. Wśród pojazdów, które zostały wykorzystane do obrony, znalazły się głównie lekkie francuskie i brytyjskie czołgi. Oprócz tego w trakcie walk na przyczółku Niemcy posiadali i inne zdobyczne czołgi. W jego południowej części walczyła 25. Dywizja Pancerna, która na stanie kompanii sztabowej I batalionu 9. Pułku Pancernego posiadała trzy sowieckie czołgi T-34/85, zaś w walkach w północnej i wschodniej części przyczółka walczyła 10. Dywizja Pancerna SS „Frunderberg”, której 5. kompania 10. Pułku Pancernego SS składała się z dwunastu amerykańskich czołgów M4A3 Sherman, jakie dywizja zdobyła

dwa miesiące wcześniej w Alzacji i spośród których dwa straciła bezpowrotnie w walkach pod Szczecinem. Po trzech miesiącach służby w niemieckiej armii ostatnie spośród tych czołgów powróciły do macierzystej 12. Dywizji Pancerniej (USA), dosłownie odprowadzone przez niemieckich kierowców.

Ilę było stanowisk Panther-turm w Szczecinie, ile z nich wzięło udział w walce?

Pod Szczecinem znalazło się 6 stanowisk Panther-turm, choć docelowo miało ich znaleźć się tutaj 12 - liczba ta jednak została zmniejszona, ponieważ połowa z nich została przywieziona wraz z dużymi, stalowymi schronami, a komendant twierdzy nie dysponował urządzeniami przeładunkowymi, za pomocą których można by było rozładować tego typu konstrukcje z wagonów i umieścić na stanowiskach bojowych. Szczecina stanowiska Panther-turm osadzone były na drewnianych schronach i miały bronić dostępu do najważniejszych mostów. Choć dla każdej z wież Niemcy dysponowali u nas zapasem 400 sztuk amunicji, ich udział w walce był znikomy; na pewno w walce wziął udział Panther-turm, który udało się odnaleźć podczas prac ziemnych w 2001 roku,

drugi oddał 11 strzałów do celów oddalonych o dwa kilometry, kolejne dwa zostały wysadzone w powietrze bez oddania ani jednego strzału, piąty w ciągu doby został trzykrotnie uszkodzony; dwa razy przez Sowieców i ostatni raz przez własną załogę, a na temat aktywności szóstego z nich nie zachowały się niestety żadne informacje.

W połowie kwietnia Armia Czerwona sforsowała Odrę na południe od Szczecina. Czy wtedy miasto straciło strategiczną rolę?

Zdecydowanie tak. W chwili gdy armia generała Batowa przeprawiła się przez Odrę Zachodnią pod Szczecinem, wzgórze Seelow - ostatnia niemiecka główna linia obrony przed Berlinem - znajdowały się już w rękach Sowieców, zaś w momencie, w którym jej oddziały toczyły walki pod Ustowem, wyszły na przedpolą Gumieniec i zaczęły obcho-dzić miasto od południowego-zachodu - został zamknięty pierścień okrążenia Berlina oraz doszło do spotkania wojsk sowieckich i amerykańskich nad rzeką Łabą. Oddalony o ponad sto kilometrów od okrążonej stolicy Rzeszy, cierpiący na brak amunicji i niemogący już nijak poważnie zaszkodzić wojskom sowieckim Szczecin przestał

mieć dla Niemców jakiegokolwiek znaczenie strategiczne i nawet w raportach dziennych Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych walkom na południe od Szczecina poświęcano w tym czasie mniej więcej taką uwagę jak lokalnym potyczkom niewielkich grup rozpoznawczych na podmokłych wyspach koło Polic. Dlatego też najwyższe dowództwo wojsk niemieckich nie miało nic przeciwko, a nawet poleciło anulować status miasta-twierdzy dla Szczecina.

Jaki był udział WP w walkach o przyczółek dąbski?

W marcu 1945 roku w walkach o przyczółek na Prawobrzeżu Szczecina wzięły udział dwa związki taktyczne Wojska Polskiego na Wschodzie: 1. Samodzielna Brygada Moździerzów WP oraz 2. Dywizja Artylerii WP. Wchodziły one wówczas w skład sowieckiego 4. Korpusu Artylerii Przełamania i wspomagały swoim ogniem natarcie wojsk 125. Korpusu Strzeleckiego na południową część przyczółka. Polscy moździerzowcy wspierali ataki na Gryfino, Chlebowo, Klucz, Żydowce i Podjuchy, zaś artylerzyści ostrzeliwali cele zlokalizowane w rejonie Chlebowy, Starych Brynek, Daleszewa, Klucza, Żydowiec i Podjuch, a później także mo-

sty, Dworzec Główny i koszar w Szczecinie. Polacy nie mieli tu łatwego zadania, zwłaszcza że wielu z nich nie brało dotychczas udziału w żadnych walkach, nie było wystarczająco przeszkolonych i przeszło tu swój chrzest bojowy, w trakcie którego wypadło im nie tylko odpierać kontrataki dwóch dywizji pancernych - w których podczas pierwszego z nich czołwki niemieckich wojsk zbliżyły się na odległość 200 metrów nawet do stanowiska obserwacyjnego dowódcy dywizji - lecz także przyszło im walczyć przy użyciu broni ręcznej lub uczestniczyć w szturmach przez pola w charakterze piechoty. ©



Jan Sinus, pasjonat historii, autor książki „Szczecin 1945: Bitwa narodów”

REKLAMA

0011284363

Carl Orff CARMINA BURANA
Gromee #NOW

Multimedialne immersyjne show

ERGO ARENA
GDAŃSK/SOPOT

13 września, 2025 | godz. 19.00

#CarminaBuranaNOW



Organizatorzy:

WORLD MEDIA



Bilety dostępne na:

eventim

TRZY PODRÓŻE PRZEZ ZIEMIE ZWANE ODZYSKANymi

Wartość książki Karoliny Ćwiek-Rogalskiej zawarta jest w bogactwie szczegółów umożliwiających jak najpełniejsze spojrzenie na codzienność tych, którzy w pierwszych powojennych latach zasiedlali „nową Polskę” - z jednej strony, z drugiej zaś - na działanie aparatu PRL, który za wszelką cenę chciał udowodnić obywatelom, obywatelkom i całemu światu, że „dar Stalina”, jak niektórzy nazywają wytyczoną w 1945 roku granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, był przejawem sprawiedliwości dziejowej...

Dariusz Olejniczak

Wychowałem się w poniemieckiej kamienicy, w poniemieckim miescie, otoczony poniemieckimi przedmiotami codziennego użytku. Przez lata nasiąkałem poniemiecką historią rodzinnego domu i najbliższej okolicy. Poniemiecką, bo przecież urodzony w latach 60. nie mogłem pamiętać niemieckiej historii tego miejsca. Nie pamiętała jej zresztą, ani moja matka, ani babka, która zasiedliła mieszkanie na parterze budynku wzniesionego przez niemieckich robotników w latach 20. lub 30. minionego stulecia.

Babka Zofia przyjechała na Ziemie Odzyskane tuż po wojnie z Warszawy, zostawiając ruiny swojego rodzinnego domu i całe dotychczasowe życie. Przywiozła ze sobą, poza skromnym dobytkiem i kilkoma ocalałymi albumami pełnymi zdjęć, matkę i dwie małe córki.

Ona jeszcze mogła dotrzeć, do tego co niemieckie. Początkowo mieszkała pod jednym dachem z byłą właścicielką trzypokojowego mieszkania. Babka z Niemczyzną nie chciała jednak mieć do czynienia, zdobywając się jedynie na tolerancję „frau”, jak nazywała swoją lokatorkę.

Po jakimś czasie Niemka wyjechała z utraconej ojczyzny do ojczyzny, która jej oczekiwała. Niby tej samej, a jednak nie... Wtedy wszelka potencjalna łączność z niemiecką przeszłością domu, ulicy, miasta - i tak odrzucana - została utracona. Historia urwała się, wpadła w uskok. Od tej pory wszystko było już poniemieckie.

Żyło się na poniemieckim

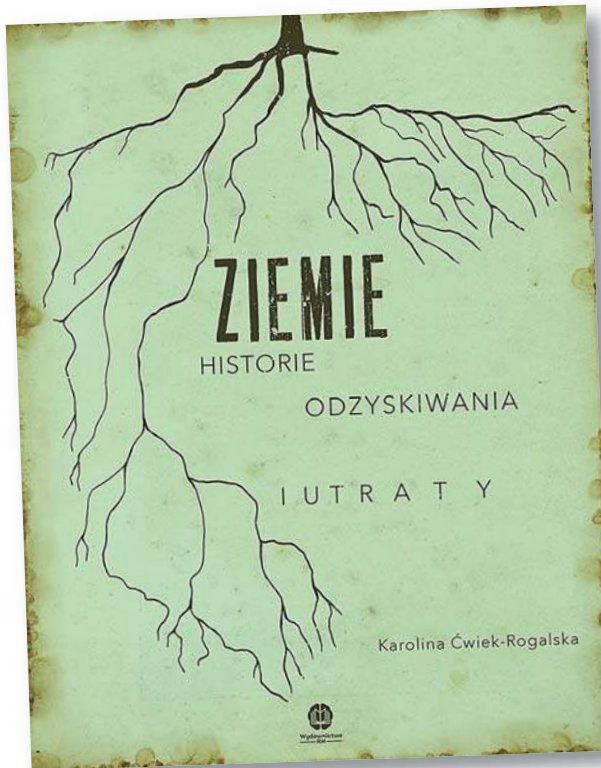
Legniczanka Karolina Kuszyc nie dorastała w ponie-

mieckim domu, a w bloku z wielkiej płyty. Jednak przy okazji odwiedzin u dziadków czasem zaglądała do ich piwnicy. Oni mieszkali „na poniemieckim”. Odnajdywała w tej piwnicy przedmioty z innego świata. Jednym z takich przedmiotów była popielniczka z napisem „I. F. Richter. Liegnitz Goldberg Str. 2. Lampen und Beleuchtungskoper, Glas- und Porzellanmalerei”. Po latach opisała te znaleziska w książce, której dała tytuł składający się z jednego słowa: „Poniemieckie”.

Opowiedziana przez antropologiczny pryzmat książka Kuszyc uzmysłowiła mi, że to co było moją szczytną codziennością, kiedy dorastałem na Dolnym Śląsku, może być przedmiotem analizy i refleksji badawczej. Podmiotem nurtu zwanego literaturą faktu.

Ja nie musiałem schodzić do piwnicy, by sięgnąć po przedmioty z innego świata, po poniemieckie. One otaczały mnie w kuchni, w pokoju, na strychu. Porcelanowe słoje na przyprawach, miedziana miska, waza na zupe, niekompletna zastawa, kuchenna waga, odważniki, maszyna do szycia, pożółkłe gazety ze zdjęciami z defilad albo portretami żołnierzy w niemieckich mundurach na pierwszych stronach i stare książki zadrukowane szwabachą, niemieckie fenigi i reichsmarki zalegające na podwórkach, znaczki pocztowe, pocztówki, land-szafty w połączonych ramach, bez ram i same ramy bez land-szaftów, stół, krzesła, kredens, toaletka, szafy, żyrandole.

Wielu rzeczy babka się nie pozbyła. Nie trudno zgadnąć, z jakim stanem posiadania przybyła na Ziemie Odzyskane. Później z niemieckiego korzystała moja mama z moim ojcem. Pamiętam, że



Karolina Ćwiek-Rogalska, „Ziemia. Historie odzyskiwania i utraty”. Wydawnictwo Radio Naukowe, Warszawa 2025 r.

z czasem te rzeczy zaczęły z domu znikać, wypierane przez nowe meble i nowe wyposażenie kuchni.

Karolina Kuszyc uchwyciła ten właśnie, materialny, ale i osobisty, prywatny element poniemieckiej historii Ziemi Odzyskanych. Dodała do niej zasób niemieckiej perspektywy, odwołując się do dokumentów i osobistych wspomnień tych, do których niegdyś poniemieckie należało, w czasach, kiedy jeszcze było niemieckie.

Wytrych do krainy zmyślonej

Dwa lata temu Zbigniew Rokita ogłosił „Odrzanie”, która jednym się podobała, innym niekoniecznie. Mnie nie podobała się bardzo. Pocho- dzący ze Śląska autor podzie-

lił Polskę na dwie krainy, właśnie Odrzanie i Wiślanie. Wiślania to „stara Polska”, Odrzanie to Ziemie Odzyskane, dla których Rokita fastryguje wspólną historię. Pozwoliłem sobie wówczas na nieco dłuższą recenzję książki na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, a wątek historycznej wspólnoty skomentowałem tak:

Gdyby jednak Zbigniew Rokita nieco więcej uwagi w prze-myśleniach i rozmowach poświęcił współczesności, obawiam się, że koncepcja Odrzania nie wytrzymałaby, już nie tyle próby czasu, ile zderzenia ze współczesnością. Byłaby to książka nie o żadnej wydumanej krainie z rzeką w nazwie, a o terenach, które stały się Polską w 1945 roku i trwają w jej granicach do dziś. Jakby tego było mało, cała koncepcja

Odrzania, podawana na kolejnych stronach wydawnictwa jako pewnik, niemal dogmat, rozpada się z hukiem w ostatnim zdaniu książki.

„Odrzanie” to miałyby być, zdaniem kilku prominentnych czytelników „reportaż włóczkowski”, „wyznanie miłości do ludzi i ziemi”, książka ze wszech miar odkrywczą. No tak, autor odkrył mityczne lądy. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że całą pracę wykonał pod dyktando z góry przyjętej tezy, nie był jednak w stanie tej obronić.

Oczywiście, Zbigniew Rokita wykonał reporterską i archiwistyczną robotę. W zakresie, jaki uznał za niezbędny. Znalazł klucz do swojej opowieści o Ziemiach Odzyskanych, tyle że to nie klucz, a wytrych.

Gdyby może autor zebrał opowieści zasłyszane od ludzi w czasie swojej podróży po dawnych (tak to chyba można dziś powiedzieć) Ziemiach Odzyskanych, zestawili je z tym co znalazł w archiwach i skupił się na ich sportretowaniu, przekazaniu współczesnym relacji z przeszłości, jego dzieło byłoby kompletne. Postanowił jednak pójść dalej i zbłądził na bezdroża. Moim zdaniem stało się tak, ponieważ...

...W książce autor swobodnie fastryguje regiony i miasta, starając się nadać im cechy wspólne, ba! napisać ich wspólną historię. To rzecz jasna nie żaden grzech. Byłby to może nawet pomysł nowatorski i odświeżający w nikłym dyskursie wokół dziejów i tożsamości ziem zwanych odzyskanymi, gdyby nie poprzestać na takim historycznym widzeniu spraw. Bowiem, o ile z okrucia historii bierze się w ogóle koncepcja łączenia np. Szczecina z Opolem, o tyle wciąż ta historia się toczy,

choć niekoniecznie zbieżnym torem...

Książka Rokity zyskała jednak niemałe grono czytelników wdzięcznych autorowi za jej napisanie, zatem warto, by każdy sam ocenił, na ile i czy w ogóle utożsamia się z Odrzaniem (albo Wiślaną, jeśli akurat tam przyszło mu żyć).

Życiorysy wystawione na konkurs

Karolina Ćwiek-Rogalska także poszukała własnej opowieści o tym sporym kawałku powojennej-nowej Polski. Zupewnie niedawno ukazała się jej książka „Ziemia. Historie odzyskiwania i utraty”. Szczęśliwie autorka nie eksperymentowała z odkrywaniem lądów nieznanych. By opowiedzieć tytułowe historie odzyskiwania i utraty, sięgnęła m.in. po materiały biograficzne, niemal masowo wytworzone przez repatriantów i przesiedleńców, dla których odebrane Niemcom ziemie stały się nową-starą ojczyzną.

Jak na autorkę związaną z naukami społecznymi przystało, za punkt wyjścia przyjęła metodę Floriana Znanieckiego, twórcy polskiej szkoły socjologicznej który jeszcze w roku 1921 ogłosił „Konkurs na życiorys pracownika fizycznego”. To był początek niezwyklej popularności życiopi-sania i pamiętnikarstwa wśród wszystkich warstw społecznych. Sztuka memuarów i autorefleksyjny zapis, zeszyły niemal dosłownie pod strzechy, a na pewno pod dachy kamienic w dzielnicach robotniczych. Na podstawie masy nadesłanych na konkurs prac, mógł Znaniecki przeprowadzić wieloaspektowe analizy socjologiczne, natomiast konkurs i jego pisemne efekty zdobyły w roku 1923 nagrodę główną Instytutu Socjologicznego w Poznaniu. Pokonkur-

KORZYSTAJĄC Z TYCH ZAPISÓW, Z KOPII DOKUMENTÓW I DZIESIĄ- TEK INNYCH MATERIAŁÓW, AUTORKA „ZIEM” STWORZYŁA OBRAZ EPOKI WIELKIEJ MIGRACJI

sowa publikacja ukazała się w roku 1930.

Po tę metodę sięgnięto tuż po II wojnie, kiedy w nowej rzeczywistości, nowej Polsce, ogłoszono kilkanaście konkursów pamiętnikarskich, na które swoje teksty nadsyłał kto chciał, czy umiał pisać poprawnie, czy pisał z błędami. To było bez znaczenia. Liczyła się teść, to co przeżyte.

No i właśnie, efekty tych konkursów, tego oceanicznego zalewu tekstów, stały się dla Karoliny Ćwiek-Rogalskiej punktem wyjścia i tłem do opowieści o tużpowojennych Ziemiach Odzyskanych. Bo „repatrianci” z Kresów i przesiedleńcy ze zrujnowanej Polski centralnej, także pisali pamiętniki i wysyłały je na konkursy. Wiele pamiętników szczęśliwie przetrwało do dziś.

Korzystając z tych zapisów, z kopii urzędowych dokumentów, danych statystycznych i dziesiątek innych materiałów, autorka „Ziem” stworzyła obraz epoki wielkiej migracji.

Obraz pewnie niekompletny, ale bardzo obszerny, ujęty na 400 stronach publikacji, i przyznam - mnie, autochtona Ziemi Odzyskanych, momentami zaskakujący. To budujące, kiedy z kart czytanej książki można dowiedzieć się czegoś nowego na temat, który wydaje się już całkiem dobrze poznany. Kiedy na sprawy uda się spojrzeć inaczej niż dotąd.

Autorka sięga po wypróbowane już topoty literatury dokumentu - duchy przeszłości, czy mity, ale nie ma w tym nic nienaturalnego czy „ogranego”. W zaangażowanym (ujętym w pryzmacie wspomnień, m.in. o dziadkach przesiedleńcach oraz własnych doświadczeniach i obserwacji najbliższego otoczenia) pisaniu o przeszłości to wręcz naturalne. A już w pisaniu o ziemiach nazywanych odzyskanymi można by rzecz, naturalne.

„Ziemie. Historie odzyskiwania i utraty” nie są wolne



Repatrianci z Francji wracają do Polski, na Ziemię Odzyskaną



Wizyta na Wystawie Ziemi Odzyskanych latem 1948 roku

od pewnych redakcyjnych niedoróbek. Zwłaszcza w obrębie pierwszych 150 stron. Szczęśliwie, nie to przesądza o wartości publikacji. Wartość ta zawarta jest w bogactwie szczegółów umożliwiających jak najpełniejsze (na ile to dziś możliwe) spojrzenie na codzienność tych, którzy w pierwszych powojennych latach zasiedlali „nową Polskę” - z jednej strony, z drugiej zaś - na działanie aparatu PRL, który za wszelką cenę chciał udowodnić obywatelom, obywatelkom i całemu światu, że „dar Stalina”, jak niektórzy nazywają wytyczoną w 1945 roku granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, był przejawem sprawiedliwości dziejowej a nie kaprysem dyktatora, który ledwie kilka lat wcześniej wspólnie z Hitlerem na Polskę najechał.

Jak pisze wydawnictwo na stronie promującej książkę Karoliny Ćwiek-Rogalskiej, „Ziemie to unikalna, doprowadzona aż do współczesności opowieść o wielkiej historii, polityce, propagandzie, układach międzynarodowych, budowie pamięci, mitów i ich dekonstrukcji. A także o codziennych ludzkich wyborach, które trzeba było podejmować w nowej rzeczywistości. O decyzjach trudnych, które wielu przemilczało”.

I ja mogę pod tym akapitem z czystym sumieniem się podpisać.

REKLAMA

0011281292

Pożyczka unijna

POŻYCZKA OZE

kwota pożyczki do **10.000.000 zł**

oprocentowanie od 0,50%

okres finansowania do 15 lat

dla Inwestorów (w tym przedsiębiorców) chcących wybudować na terenie województwa pomorskiego instalację wytwarzającą energię z OZE.

kontakt:

Lubelska Fundacja Rozwoju
Gdańsk, ul. Piastowska 7 pok. 207
tel. 58 888 29 93

<https://pożyczkaunijna.pl/>



Fundusze Europejskie
dla Pomorza



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



URZĄD MARSZAŁKOWSKI
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

WIOSENNA ODSŁONA JAZZU

Wiosenna edycja Festiwalu Jazz Jantar potrwa od 26 do 30 marca, koncerty będą tym razem nie tylko w Sali Suwnicowej, ale również w Kinie Żak i w Galerii Żak. Formuła festiwalu została odświeżona

Anna Szalkowska

Marcowa odsłona 28. Festiwalu Jazz Jantar rozpocznie się bez publiczności. Na kilka dni przed pierwszym koncertem zawita do Gdańska wybitna saksofonista Zoh Amba. Miniony rok był dla niej wyjątkowo udany. Nagrała dwa dobrze przyjęte albumy z dwoma, bardzo różnymi projektami: amerykańskim Beings i z oktetem Marka Pospieszalskiego. Jej rezydencja podczas Jazz Jantaru jest z kolei związana z rozpoczęciem bliskiej współpracy z Akademią Muzyczną im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku, czego owocem będą warsztaty przeprowadzone dla szerokiego grona studentów i studentek, a także kilkudniowa praca nad improwizowanym setem wraz z czterema wybranymi uczniami. Powstały w ten sposób materiał zostanie zaprezentowany podczas inauguracji festiwalu. Dwa dni później Zoh Amba wykona także solową improwizację saksofonową w Galerii Żak.

Wątek edukacyjny

Kolejnym przedsięwzięciem o charakterze edukacyjnym będą dwa koncerty popołudniowe skierowanym do młodszej publiczności. Pomysł został zaczerpnięty z brytyjskiej sceny punkrockowej lat 70., gdzie wiele zespołów poza koncertami wieczornymi, grało także popołudniami dla młodszej, wpuszczanej do klubu nieodpłatnie widowni.

W takiej formule ostatniego dnia festiwalu wystąpią dwie grupy, które dotąd w Polsce nie miały okazji się zaprezentować: norweski Splashgirl (tworzony przez muzyków znanych między innymi z zespołów Nilsa Pettera Molværa, Philipa Glassa czy Jenny Hval) oraz niemiecki Sinularia łączący bity zaczerpnięte z wonky oraz IDM-u, zainspirowane między innymi twórczością Flying Lotus i Aphex Twin, z jazzową improwizacją.

Po południu uczniowie szkół podstawowych i liceów oraz techników będą mogli zobaczyć występy tych dwóch projektów bezpłatnie, a wie-



Peter Evans Being & Becoming wystąpi 26 marca

czorem wystąpią ponownie dla festiwalowej publiki.

- Wychodzimy z założenia, że niesłusznie pokutuje przekonanie jakoby jazz był muzyką trudną, wymagającą muzycznego wykształcenia czy ośluchania - tłumaczą organizatorzy. - Zachęcając młodzież do udziału w koncertach, za-

mierzamy położyć kres temu fałszywemu przekonaniu.

Otwarta próba

Pozostała część programu to w zrównoważonym stopniu nowe, mało znane zespoły, jak i te już uznane i cenione. Siedemnastoosobowa Fire! Orchestra wystąpi z dopiskiem

Special Edition, co oznacza pierwszy koncert z nowym materiałem i w nowym składzie.

Tutaj również wkrada się wątek edukacyjny - dzień przed premierą podczas Festiwalu Jazz Jantar orkiestra zagra otwartą dla studentów próbę na gdańskiej Akademii Muzycznej.

Na marcowym Jazz Jantar po wielu latach przerwy w działalności powróci również niemal rodzimy Contemporary Noise Sextet w odświeżonym składzie z Michałem Janem Ciesielskim i Olem Walickim. Usłyszeć będzie można projekt Being & Becoming Petera Evansa, gdzie na wibrafonie zagra cieszący się w ostatnich latach dużą popularnością Joel Ross - muzyk uchodzący obecnie za twarz kultowego Blue Note Records.

Nowy projekt - Exhaust - przedstawi najbardziej rozchwytywany pianista młodej brytyjskiej sceny, Kit Downes. Pojawia się także niedawni debutanci, dotąd nieznani polskiej publiczności koncertowej - londyński duet O., który gra

z punkrockową zaciękością oraz amerykańskie Foster/Crawford/Sullivan Trio, sięgające po free jazz, awangardę i niezliczone tradycje ludowe.

Silna reprezentacja lokalna

Nie mogło wreszcie zabraknąć silnej reprezentacji lokalnej. Podczas marcowego Jazz Jantaru odbędą się premiery wydawnictw trzech trójmiejskich zespołów - Klawo, Tentno i Daltonists.

Marcowa edycja Festiwalu Jazz Jantar 2025 - w odróżnieniu od poprzednich lat - obejmie działania angażujące całą przestrzeń Klubu Żak. Większość koncertów wciąż będzie się odbywać na Sali Suwnicowej, ale zaplanowaliśmy także trzy w Kinie Żak i jeden w Galerii Żak.

Dodatkowo w sali kinowej prezentowane będą filmy o tematyce jazzowej, a w Kawiarni Żak będzie można posłuchać rozmów z artystami i artystkami na temat współczesnego jazzu. Cały program wiosennej edycji znaleźć można na stronie www.dziennikbaaltycki.pl.

SPOTKANIE

GDAŃSK

Marzec na Długiej 35

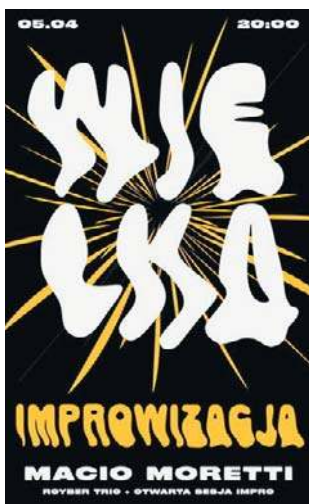
19 marca o 18.00 Gdańsk Miasto Literatury zaprasza na spotkanie w ramach cyklu Wolne Słowo. Mowa będzie o specyfice pracy korespondenta wojennego: zagrożeni, z jakimi się mierzy, wyzwaniach związanych z wykorzystaniem nowych mediów oraz odpowiedzialności za przekazywane słowa i obrazy. O swoich doświadczeniach opowiedzą Piotr Andrusieczko i Piotr Kaszuwara, dziennikarze znani m.in. z Gazety Wyborczej, Nowej Europy Wschodniej i Radia 357. Spotkanie poprowadzi Arkadiusz Modrzejewski, dyrektor Instytutu Politologii Uniwersytetu Gdańskiego, profesor UG.

Wielka Improwizacja: MACIO MORETTI

5 kwietnia (sobota) o 19.00 Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku zaprasza na wydarzenie „Na linii frontu: wyzwania mediów”. W programie koncert Royber Trio (Macio Moretti, Mikołaj Trzaska, Olo Walicki) i prowadzona przez Macia Morettiego sesja improwizacji muzycznej „Bezinteresowność”.

Wielka Improwizacja to nowy cykl muzyczny IKM. Podczas kolejnych jego odsłon organizatorzy zaproszą na koncerty i towarzyszące im otwarte sesje improwizacji. Udział w cyklu wezmą uznani twórcy i twórczynie muzyki okołojazzowej, alternatywnej i elektronicznej.

Każda Wielka Improwizacja będzie rodzajem muzycznego spotkania z zaproszonymi improwizatorami i improwizatorkami, którzy po prezentacji wybranego przez siebie autorskiego projektu muzycznego poprowadzą sesję improwizacji - jej przebieg wyznaczać będzie zaproponowany motyw przewodni.



Do udziału w sesji zapraszani są reprezentanci i reprezentantki trójmiejskiej sceny muzycznej, którzy posiadają lub zdobywają doświadczenie w formule jam session. Muzyczna rozmowa tocząca się w różnych stylistykach, łącząca różne pokolenia i podejścia twórcze wybrzmia na scenie audytorium IKM. Moderatorem

pierwszej z nich będzie Macio Moretti.

Macio Moretti to jeden z najaktywniejszych twórców polskiej sceny muzyki niezależnej. Muzyk, kompozytor, perkusista, basista, a właściwie multiinstrumentalista - a także współzałożyciel wytwórni Lado ABC oraz projektant graficzny. Inicjator i członek niezliczonych projektów muzycznych, m.in. Mitch & Mitch, LXMP, Shofar, Starzy Singers, Babama, Łoskot czy Royber Trio. Ten ostatni usłyszeć można podczas premierowej Wielkiej Improwizacji 5 kwietnia. Po koncercie razem z Maciem Morettim organizatorzy zapraszają na sesję muzyki improwizowanej - hasłem przewodnim zaproponowanym przez Wielkiego Improwizatora jest „bezinteresowność”.

5 kwietnia (sobota), Instytut Kultury Miejskiej (Targ Rakowy 11, Gdańsk). Bilety (koncert + sesja) 49,- do 20.03/59,- od 21.03 i w dniu wydarzenia. (szal)

Klasyka na Ołowiance

16 marca (niedziela) o 12.00 fani muzyki klasycznej mogą uczestniczyć w koncercie „Klasyka na Ołowiance”. W programie m.in. Ludwig van Beethoven, Trio fortepianowe B-dur op. 97 (Arcyksiaże) na skrzypce, wiolonczelę i fortepian. Czas trwania koncertu: ok. 70 minut.

Tytułowy Arcyksiaże, brat cesarza Austrii, przyjaciół, uczeń i chlebodawca Beethovena, odegrał ważną rolę w życiu Mistrza. Rudolf hojnie wynagradzał kompozytora, zamawiał też u niego dodatkowe utwory, dając mu pole do artystycznej kreacji. Owocem tej zażyłości jest nie tylko wyżej wspomniane Trio, które podczas koncertu wykonane zostanie przez artystów Polish Piano Trio. Są to także kompozycje, tj. Sonata fortepianowa Les Adieux (op. 81a) czy IV Koncert fortepianowy G-dur (op. 5), które były dedykowane Rudolfowi. Arcydział, bo z taką klasą kompozycji spoty-

kać się będą na scenie kameralnej wykonawcy, to ponadczasowa forma, lekkość, melodyczność i zwięzłość myśli, zarazem przy nieposkromionej inwencji fakturalnej Beethovena.

Warto poznać rozpalające historyków muzyki anegdoty o zażyłości dwóch wielkich mężów swoich czasów, świadczące o niebywałej sile, ale i trudności charakteru Mistrza Beethovena, jego nieugiętej osobowości i wyzwaniach, jakie napotykał.

WAŻNE

- Filharmonia Bałtycka: Gdańsk, Ołowianka 1, bilety 32 zł/16 zł
- Wystąpi: Polish Piano Trio: Robert Kwiatkowski - skrzypce, Błażej Goliński - wiolonczela, Dominika Glapiak - fortepian, prowadzenie, kierownictwo muzyczne

Do wygrania m.in. 40.000 zł na realizację marzeń! Zagłosuj lub zgłoś się do akcji Kobieta Twarz Roku 2025.

Czytaj więcej o plebiscycie na www.dziennikbaltycki.pl/kobiety

Marzysz, by zrobić coś tylko dla siebie? Poczucie się pięknie, wyjątkowo? Zgłoś się do akcji Kobieta Twarz Roku - to więcej niż konkurs, to podróż pełna emocji, wzruszeń i niesamowitych przeżyć.

To chwila, w której każda kobieta może stanąć w centrum uwagi i powiedzieć: „Jestem tu, jestem wspaniała, zasługuję

na wszystko, co najlepsze!”. W tej akcji szukamy twarzy pełnych pasji, siły i niezwykłej energii. Cóрки, Matki, Kobiety dojrzałe - każda ma swoją historię, swoje marzenia i swoje piękno, bo to nie wiek decyduje o tym, kim jesteśmy, ale to, co nosimy w sercu. Córkę to między innymi młodość, marzenia, odwaga zdobywania świata. Matki - siła, miłość, poświęce-

nie dla innych. Kategorię Kobiety Dojrzałe cechuje doświadczenie i wewnętrzny blask. Niech to, jak się czujesz, a nie metryka, zdecyduje, w której kategorii wystartujesz! Wybierz swoją, zgłoś się i pozwól sobie na chwilę tylko dla siebie. To będzie przygoda, którą zapamiętasz na długo!

Dla wspaniałych kobiet mamy oczywiście wspaniałe

nagrody. Zwycięzynie wojewódzkie przejdą do ogólnopolskiego finału, gdzie w każdej kategorii czeka 40.000 złotych - na realizację największych pragnień! Może to podróż życia? Rozwój własnego biznesu? Nowy początek? Teraz to Ty decydujesz! Czekają też dwuosobowe zaproszenie na weekend w hotelu ze SPA czy voucher na wczasy. Jolanta Smolińska,

ubiegłoroczna laureatka, mówi: - Właśnie wykorzystałam swoją nagrodę, jestem na La Palmie i korzystam z wycieczki po wulkanach, którą zakupiłam przez wygrany voucher. Jestem bardzo zadowolona, naprawdę warto wziąć udział w tej akcji.

Warto, bo każda kobieta może poczuć się wyjątkowa - bo takie właśnie jest!

Cały czas możesz dołączyć do Kobiety Twarzy Roku, w której udział już bierze mnóstwo fantastycznych, wspaniałych kobiet z naszego regionu. Dziś prezentujemy wybrane z nich - liderki ostatnich dni poszczególnych głosowań.

Aktualne wyniki, formularz zgłoszenia i więcej informacji znajdziesz na naszej stronie. Zgłoś się albo zagłosuj już dziś!

CÓRKI



Klaudia Szulc



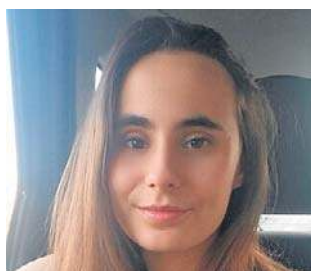
Dominika Januszewska



Julia Pożniak



Julia Plichta



Kinga Imianowska



Paulina Natzke



Adrianna Urban



Justyna Mielewicz



Marta Schmidt

MATKI



Martyna Wegner



Brygida Kędzierska



Jolanta Schreiber



Marta Gaładyk



Bożena Trawczyńska



Katarzyna Przyłucka



Natalia Zadoianchuk



Magdalena Suryś

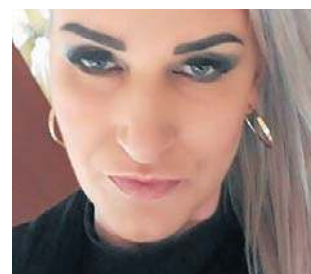


Ania Umińska-Szamocka

KOBIETY DOJRZAŁE



Patrycja Puszkarz



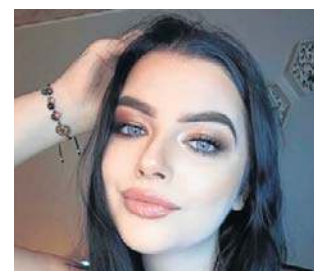
Katarzyna Pioch



Elżbieta Irzyk



Anna Jezierska



Natalia Kijewska



Barbara Majewski



Marzanna Kozicka



Grażyna Górka



Alicja Szczepny

rsz!

Do wojska ma

Powszechne szkolenia
wojskowe w Polsce
dla mężczyzn i dla kobiet
Str. 20-21



PULS
#155

PRZYGOTOWANI NA KAŻDĄ EWENTUALNOŚĆ

Dobrowolne szkolenia wojskowe mają sprawić, że każdy, jeśli tylko tego chce, będzie umiał posługiwać się bronią, udzielić pierwszej pomocy, będzie wiedział, co robić w sytuacji zagrożenia. Na dłuższą metę mają one sprawić, że powstanie armia rezerwistów, którzy w razie potrzeby wspomogą zawodowych żołnierzy. Inna rzecz, że po takim szkoleniu komuś może spodobać się wojsko i wybierze dla siebie właśnie taką drogę

Dorota Kowalska

Decyzja zapadła, co ciekawe, tym razem obojętne było się bez politycznych przepychanek. Premier Donald Tusk, jeszcze w zeszłym tygodniu poinformował, że rząd pracuje nad przygotowaniem szkoleń wojskowych na ogromną skalę. Chodzi o to, aby każdy dorosły mężczyzna w Polsce był szkolony na wypadek wojny.

- Mówimy dzisiaj o potrzebie posiadania w Polsce armii półmilionowej, razem z rezerwistami - stwierdził Donald Tusk. I podkreślił, że nie chodzi o powrót do zasadniczej służby wojskowej, a o dobrowolne szkolenia.

- To jest możliwość, a równocześnie bardzo wymierna zachęta do przeszkolenia dla kobiet i mężczyzn - uściślił Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier, minister obrony narodowej.

Temat wrócił podczas wtorkowego posiedzenia rządu. Premier przekonywał, że chętnych do służenia ojczyźnie nie brakuje, ale, jak tłumaczył, szkolenia nie są obecnie dostępne powszechnie.

- Musimy zwiększyć zdecydowanie możliwości państwa, by każdy zainteresowany, każda zainteresowana szkoleniem wojskowym, mógł i mogła w nim uczestniczyć - wyjaśnił premier. - Poza armią zawodową i poza WOT musimy zbudować de facto armię rezerwistów i temu będą służyły nasze działania - dodał.

Obecnie zasadnicze szkolenia wojskowe trwają miesiąc.

- Dla nas najważniejsze jest, żeby każdy zainteresowany mógł najpóźniej w 2026 roku w takim szkoleniu uczestniczyć. To zadanie trudne, ale wiem, że wykonalne - powiedział szef rządu.

Plan jest taki, aby w 2027 roku osiągnąć możliwość przeszkolenia 100 tys. ochotników w ciągu roku, dzisiaj szkolenie podstawowe w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej może przejść rocznie ok. 40 tys. osób. Po miesięcznym szkoleniu podstawowym kandydaci mogą wziąć udział w jedenastomiesięcznym szkoleniu specjalistycznym, po nim, jeżeli

oczywiście chcą, mogą ubiegać się o przyjęcie do służby zawodowej.

Szef rządu zadeklarował, że każdy pomiędzy 18. a 60. rokiem życia, kto będzie zainteresowany dobrowolnymi szkoleniami wojskowymi, otrzyma „dokładne informacje”, w jaki sposób takie szkolenie może odbyć. Nie bez znaczenia są zachęty.

- Już dzisiaj jest tak, że kto decyduje się dobrowolnie na miesięczne szkolenie, otrzymuje wynagrodzenie 6000 złotych, kończy się to przysięgą wojskową. Zwróciłem się do pana ministra (obrony narodowej - red.) o to, aby zwiększyć możliwości państwa i oczywiście też zwiększyć motywację zainteresowanych - stwierdził. Być może podczas szkolenia zainteresowani będą mogli ukończyć kurs zawodowego prawa jazdy.

Jak ustalił Artur Molęda z TVN24, za kilka tygodni ma zostać uruchomiona specjalna strona internetowa, na której będzie można zapisać się na szkolenie. Po zalogowaniu się przez Profil Zaufany, będzie można wybrać długość szkolenia: będą nie tylko miesięczne, ale także jedno- i trzydniowe. Następnie system wyświetli listę i mapę z zaznaczonymi jednostkami wraz z rodzajami szkoleń do wyboru. Na końcu pojawi się informacja o konkretnym adresie i terminie, gdzie należy się stawić, a także lista rzeczy niezbędnych do zabrania. Może być to na przykład strój sportowy.

- Program przeszkolenia wojskowego będzie dostępny dla kobiet i mężczyzn, do wyboru będzie zakres podstawowy i rozszerzony - zapowiedział na konferencji prasowej minister Władysław Kosiniak-Kamysz. I dodał, że program szkoleń będzie „uszyty na miarę każdego, kto będzie z tego chciał skorzystać”. Nie będzie kolidował z życiem prywatnym czy zawodowym.

Resort planuje zorganizować interaktywną mapę, by każdy chętny mógł wybrać sobie przewodnika i rodzaj szkolenia, które będzie w stanie zrealizować.

W program szkoleniowy mają zaangażować się wojskowi.



FOT. ANNA KACZMARZ

Wiadomo, że trwa opracowywanie modelu takich szkoleń, jednym z branych pod uwagę był model szwajcarski, uchodzący za jeden z najskuteczniejszych

- Ten program to będzie wszechstronne przeszkolenie, angażujące zarówno żołnierzy służby czynnej, aktywnej rezerwy, jak również tych, którzy już swoją służbę odbyli i będą się chcieli w to zaangażować. Do nich ta oferta również zostanie skierowana - zapowiedział szef MON.

Obecny na konferencji wiceminister Cezary Tomczyk powiedział, że program przeszkolenia wojskowego może wejść w życie „szybciej, niż od przyszłego roku”.

- W ciągu najbliższych dni i tygodni przedstawimy kompleksowy plan po to, żeby też opinia publiczna mogła poznać szczegóły, ale najważniejsza informacja jest taka, że chcemy, żeby to był program po-

wszechny i dobrowolny - stwierdził wiceszef MON.

Wiadomo, że trwa opracowywanie modelu takich szkoleń, jednym z branych pod uwagę był model szwajcarski, uchodzący za jeden z najskuteczniejszych. W Szwajcarii do odbycia służby wojskowej zobowiązani są wszyscy zdolni do tego mężczyźni, w większości przypadków dotyczy to mężczyzn w wieku od 18 do 30 lat. Kobiety do wojska mogą zgłosić się dobrowolnie.

Szkolenie można odroczyć z powodów zdrowotnych, ze względu na pracę lub szkołę. Mężczyźni, którzy nie ukończą szkolenia podstawowego przed ukończeniem 25. roku życia, zostają zwolnieni z sił zbrojnych i są zobowiązani do zapłaty podatku od służby wojskowej.

W Szwajcarii szkolenie podstawowe trwa zazwyczaj około trzech miesięcy. Uczy się na nim technik walki, obsługi broni i sprzętu wojskowego. Po ukończeniu szkolenia przez dziewięć lat pozostaje się członkiem szwajcarskich sił zbrojnych - w tym czasie kończy się jeszcze sześć kursów, trwających po trzy tygodnie każdy.

Wydaje się, że w sprawie dobrowolnych szkoleń wojskowych panuje polityczna zgoda, chociaż każda ze stron dorzuca swoje propozycje albo dzieli się wątpliwościami.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński pytany przez dziennikarzy, co sądzi o propozycji premiera, stwierdził, że „to dobra decyzja, ale pod jednym warunkiem, że cała pedagogika społeczna się zmieni”.

- Że zamiast pedagogiki tchórzostwa, będziemy mieli powrót do etosu rycerskiego i do tego, że mężczyźni mają być także żołnierzami, czyli być w stanie się narazić także na śmierć - uściślił.

Jak tłumaczył, „jeżeli będziemy ludzi szkolić, jak strzelać, jak się bronić, okopywać etc., ale jednocześnie będziemy podtrzymywali tę pedagogikę społeczną, która jest w tej chwili, to z tego po prostu nic nie wyjdzie”.

- Co z tego, że ktoś będzie nawet bardzo sprawny w tych czynnościach, jak pierwszą jego myśl będzie, żeby uciekać - podkreślił.

Z kolei kandydatka Nowej Lewicy na prezydenta Magdalena Biejat stwierdziła, że „dużo ważniejsze i potrzebniejsze od szkolenia wojskowego jest dzisiaj szkolenie z obrony cywilnej”. Jej zdaniem, polskie społeczeństwo nie potrzebuje obecnie „tak bardzo” powszechnych szkoleń wojskowych, choć oczywiście bardzo dobrze, jeśli państwo je zapewni.

- Ale to, czego potrzebujemy to szkolenie cywilów z pierwszej pomocy, z rozpoznawania sygnałów alarmowych, ze współpracy ze służbami, tego, gdzie szukać informacji o schronach, o ile w ogóle takie schrony są w okolicy - stwierdziła Magdalena Biejat.

I tłumaczyła, że w przypadku konfliktu czy kryzysu zbrojnego, większość obywateli „nie pójdzie na front, nie pójdzie do wojska”, ale pozostanie w domach, miejscach pracy, w społecznościach lokalnych, a odpowiedzialnością państwa jest dać im narzędzia do tego, żeby w sytuacji kryzysu mogli sobie poradzić, wiedzieli, jak się zachować, potrafili współpracować ze sobą, zorganizować się i współpracować z organizacjami i samorządem.

Także wojskowi są zgodni - to właściwy kierunek działania.

- Ta koncepcja wpisuje się w coś, co od dawna proponuję: filozofię budowania armii nie tylko czynnej, ale także rezerwowej, i to na zasadzie ochotniczej - stwierdził w rozmowie z PAP były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego gen. Stanisław Koziej. I dodał, że Polska jako państwo frontowe powinna posiadać dwa rodzaje sił zbrojnych: wojska natychmiastowego reagowania oraz armię rezerwową, która w razie wojny mogłaby być szybko rozwinięta.

Z kolei gen. Roman Polko, były dowódca GROM, zapytany w TVN24, jak wyglądałby przykładowy program trzydniowego szkolenia, gdyby to od niego zależało, zwrócił uwagę na kilka elementów.

- To ćwiczenia taktyczne, czyli w jaki sposób poruszać się po polu walki, jak zajmować stanowiska, jak wykorzystać teren po to, żeby zapewnić sobie ochronę, jak prowadzić działania w nawet niewielkich grupach asekuracyjnych - wyliczał. - I oczywiście te podstawowe umiejętności związane z wykorzystaniem podręcznych środków, a w szczególności broni (...) Na polu walki w czasie wojny, kiedy ta broń trafi w ręce powiedzmy obywatela, który nawet w obronie własnej miałby ją wykorzystać, to przecież musi umieć ją obsłużyć, załadować, wyciągnąć - dodał.

Sytuacja na świecie jest trudna: za naszą wschodnią granicą wciąż trwa wojna i, jak podkreślają eksperci, musimy być gotowi na każdą ewentualność. Wydaje się, że jesteśmy tego coraz bardziej świadomi.

Pomysł dobrowolnych szkoleń wojskowych zaproponowany przez rząd to dobry kierunek?
Tak, zdecydowanie. Trzeba odbudować rezerwy osobowe dla państwa.

I jak takie szkolenie powinno wyglądać?
Takie miesięczne szkolenie powinno zawierać postawy związane z obronnością i wyszkoleniem wojskowym: chodzi o poznanie tego, jak posługiwać się bronią, poznanie podstawkowych taktyk wojskowych, naukę udzielania pierwszej pomocy, tego, jak zachowywać się w sytuacjach niebezpiecznych.

No dobrze, ale mówimy o szkoleniu dla wszystkich chętnych Polaków, które może trwać dzień, trzy dni albo miesiąc! Czego można nauczyć w jeden dzień?
Niewiele rzeczy, ale jednak podstaw udzielania pierwszej pomocy czy posługiwania się bronią – tak.

Myśli pan, że na takie szkolenia, jeśli zostaną wprowadzone, będą chętni? Bo wydaje się, że będą.
Myślę, że tak, zwłaszcza biorąc po uwagę to, co dzieje się za naszą wschodnią granicą. Instynkt samozachowawczy dorosłego faceta w sytuacji zagrożenia mówi mu, że musi bronić swojej rodziny, swojej ojczyzny. I jeśli nie będzie posiadał odpowiedniej wiedzy, czy umiejętności, aby sprostać temu zadaniu, zrobi wszystko, żeby te braki nadrobić. Dlatego myślę, że chętnych nie będzie brakowało. Trzeba tylko odpowiednio wszystko zorganizować. Wiadomo, że początek takich szkoleń może być dla niektórych nudny, bo trzeba jednak osiągnąć podstawy wiedzy teoretycznej, ale trzeba przez to przejść i już.

Instynkt samozachowawczy kobiet mówi dokładnie to samo, panie generale!
Nie znam się za dobrze na kobietach, ale skoro pani tak mówi, to pewnie tak.

Nie uważa pan, że każdy obywatel powinien znać podstawy z obronności, podstawy wojskowości? Że powinien umieć strzelać, udzielać pierwszej pomocy, wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach niebezpiecznych?
Zdecydowanie tak. Wiedza i umiejętności to jedno. Mój znajomy był na takim szkoleniu, abstrahując już od jakości tego szkolenia, poznał tam wielu ludzi. To bardzo ważne, bo takie znajomości są później podtrzymywane. Mój syn jest w Wojskach Obrony Terytorialnej, spotykają się także poza szkoleniami, doskonali się sami, pomagają sobie.

GEN. KRASZEWSKI: TRZYMIESIĘCZNE SZKOLENIA TO OPTYMALNY CZAS, ŻEBY PRZYSWOIĆ PODSTAWY

– Instynkt samozachowawczy dorosłego faceta w sytuacji zagrożenia mówi mu, że musi bronić swojej rodziny, swojej ojczyzny. Dlatego myślę, że chętnych na szkolenia nie będzie brakowało – mówi gen. Jarosław Kraszewski, były szef Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w BBN

Dorota Kowalska

Ile potrzeba czasu, żeby takie szkolenie miało sens?
Moim zdaniem trzy miesiące, trzeba by to oczywiście uzgodnić z pracodawcą, ale to optymalny czas, żeby przyswoić podstawy. Te trzy miesiące mogłyby być rozłożone na okres dwóch czy trzech lat.

Miesiąc to za mało?
Trzy miesiące byłoby wyjściem optymalnym, ale dobry i miesiąc.

Jest pan zwolennikiem zasadniczej służby wojskowej?
Tak, jestem zwolennikiem obowiązkowej służby wojskowej. Tutaj pewnym wzorem może być zasadnicza służba wojskowa, jaką przechodzą młodzi mężczyźni w Izraelu. Tam idą do niej niemal wszyscy, bo nawet osoba nie w pełni sprawna fizycznie może się przydać w wojsku: może obsługiwać logistycznie sprzęt, być wykorzystywana w pracy biurowej, na tak zwanych tyłach. I tak po ukończeniu służby zasadniczej dowódca, przekazując mundur takiemu młodemu człowiekowi, mówi: „Teraz oddajemy obronę naszej ojczyzny w twoje ręce”.

Mocne słowa, ważne słowa!
Mocne słowa, ale one oddają istotę sprawy. Tam świadomość wojskowa jest nieporównywalnie większa niż w Polsce i poczucie odpowiedzialności za kraj również. Dlatego wykorzystywani są wszyscy, nawet ci, którzy nie będą biegać po polu walki, ale z powodzeniem mogą przydać się gdzie indziej. Wojsko to nie tylko strzelanie.

Ile taka zasadnicza służba wojskowa powinna trwać?
Optimum dziewięć miesięcy, a minimum to sześć.

Robiłam wywiad z ministrem Władysławem Kosińskim-Kamyszem i mówił mi, że bardzo dobrze sprawdzają się Wojska Obrony Terytorialnej, że młodzi ludzie chętnie się do nich zapisują, że, tak jak pan wspomniał, tworzą się w nich przyjaźnie, że tworzy się taka kultura wojskowa. Pan też ma takie spostrzeżenia?
Już o tym wspomniałem, tak, uważam, że Wojska Obrony Terytorialnej, to miejsce, w którym młodzi ludzie, nie tylko młodzi, zapoznają się z podstawami wojskowości, ale też uczą

się innych umiejętności, a przede wszystkim, jak już wspomniałem, tworzy się między nimi pewna więź, kultura wojskowa.

Moim zdaniem równie ważne jest szkolenie młodych ludzi w szkołach, nie mówię, że strzelania, ale z takich podstawowych zasad bezpieczeństwa, z udzielania pierwszej pomocy, z tego, jak się schronić w razie ataku
Uważam, że tak. Sam szkołę średnią kończyłem dawno temu i miałem w niej taki przedmiot jak przysposobienie obronne...

Też je miałam!
Mój nauczyciel był odpowiednim człowiekiem na odpo-

wiednim miejscu, dużo mi te zajęcia dały. Jeżdżiliśmy nawet na obozy z przysposobienia obronnego. Opanowałem na nich choćby posługiwanie się bronią, posiadałem wiele umiejętności, które potem przydały mi się w życiu i pomogły w szkole oficerskiej.

Nie uważa pan, że taki przedmiot, dobrze, ciekawie prowadzony, tak aby zachęcić młodzież do zapoznania się z podstawami obronności, powinien być wprowadzony do szkół?
Na pewno byłoby to z korzyścią dla wszystkich. Taki przedmiot, jak pani wspomniała, dobrze zaplanowany ma jak najbardziej sens. Nie chciałbym deprecjonować nauczycieli, ale mogliby go prowadzić byli wojskowi, odpowiednio wyszkoleni, z odpowiednim bagażem doświadczeń. To na pewno podniosłoby atrakcyjność takich zajęć, ale też wzbogaciło je o doświadczenie tych ludzi. Jednak najważniejsza jest rodzina, najbliższe otoczenie. Tu trzeba uczyć młodych ludzi patriotyzmu. Szkoła może go tylko wzmocnić, główne zadanie w tej kwestii spoczywa jednak na rodzicach.

Ja też nie deprecjonuje nauczycieli tylko mówię, że w tym konkretnym przypadku, tego konkretnego przedmiotu, taki wojskowy byłby bardziej poważany niż nauczyciel, który z obronnością może nie mieć nic wspólnego.
Dokładnie tak.

Gdyby miał pan ocenić w skali 0 do 10 przygotowanie polskiego społeczeństwa do wojny, chodź mi o umiejętności, wiedzę, to jakby pan je ocenił?
Jestem osobą publiczną, przez niektórych rozpoznawalną, nie chciałbym się narazić na jakieś ataki niezadowolonych (śmiech).

Więc nie jest dobrze – dwójka?
Powiedzmy, trójka.

Czyli podsumowując: obowiązkowa zasadnicza służba wojskowa – tak, dobrowolne szkolenia – tak, jak najwięcej patriotyzmu w domu i szkole.
Zdecydowanie.

Mam wrażenie, tak jak pan powiedział, że to, co się dzieje za naszą wschodnią granicą, wiele rzeczy Polakom uświadomiło? Wzrosła potrzeba posiadania pewnych umiejętności, ale i wiedzy.
Kiedy po wybuchu wojny w Ukrainie jechałem na wschodnią granicę, widziałem, jak w kierunku Polski suną kobiety i dzieci, dokładnie w odwrotnym kierunku podążali mężczyźni, Ukraińcy. Rosja chciała zająć Ukrainę w dwa tygodnie, wojna trwa już trzy lata. I jednym z powodów takiego

stanu rzeczy jest postawa ukraińskiego społeczeństwa. Polacy to dostrzegają, mają też świadomość zagrożenia.

Panie generale, Polska chce wystąpić z postanowień Traktatu Ottawskiego, wrócić do min przeciwpiechotnych i amunicji kasetowej. To dobry pomysł?
Tak, uważam, że to dobry pomysł. W razie pojawiającego się, realnego zagrożenia takie miny należałoby rozlokować przy naszej wschodniej granicy, jako jeden z ostatnich etapów projektu Tarcza Wschód.

Ile czasu potrzebuje Europa, aby być w stanie obronić się przed Putinem?
Myślę, że jakichś dwóch, trzech lat. Trzeba, przede wszystkim dobroić Europę, produkować więcej sprzętu, amunicji, uzupełnić też zasoby ludzi w wojskach poszczególnych państw członkowskich. Kreml ma większy potencjał nuklearny, w Europie broń jądrowa jest w posiadaniu Wielkiej Brytanii i Francji, ale jeżeli chodzi o broń konwencjonalną możemy spokojnie stawić Rosji czoło. Chociaż nie sądzę, aby wojska amerykańskie opuściły teren Europy, nie dojdzie do tego.

Putin zdecydowałby się na użycie broni nuklearnej? Mnie się to wydaje mało prawdopodobne.
Trzeba brać pod uwagę każdą ewentualność.

A ile czasu potrzebuje Europa, żeby bronić Ukrainy bez Amerykanów?
Problemem jest system Patriot, HIMARS i myśliwce F-16. Trzeba by zastąpić ten sprzęt europejskim. Amunicji jesteśmy w stanie produkować więcej. Myślę, że Ukraina bez pomocy Amerykanów jest w stanie się bronić jeszcze przez jakiś czas. To nie jest tak, że złoży broń.

Jak pan myśli, jak zakończy się konflikt na Ukrainie?
Raporty sprzed lutego 2022 roku mówią, że zasoby metali ziem rzadkich Ukrainy były wtedy warte ok. 8 bilionów dolarów, to ogromne pieniądze. Prezydent Zełenski podpisał z administracją Trumpa umowę dotyczącą tych metali, jeśli nie zrobi tego Zełenski, to ktoś inny będzie na jego miejscu i to robi. Amerykanie wejdą do Donbasu, bo tam tych złóż jest najwięcej i to będą dla Ukrainy swoiste gwarancje bezpieczeństwa, Putin nie zdecyduje się na atak terytoriów, na których stacjonują amerykańskie firmy, ale zatrzyma Krym.

Czyli chodzi o pieniądze?
Tam, gdzie nie wiadomo, o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze.



FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK

Gen. Kraszewski: Takie szkolenie powinno zawierać postawy związane z obronnością i wyszkoleniem wojskowym

Alicja Polewska

KOŃ W MASCE PRZECIWGAZOWEJ



K

- Kładź się!
- Ale dlaczego ja?

- Bo jesteś z nas najmniejsza, a mamy targać rannego na tych noszach z zasłony po schodach, więc kładź się, a wy bandażujcie - Gocha była nieubłagana, dyrygowała nami niczym kapral. Dziewczyny zabandażowały mnie „w mumię”, ułożyły na prowizorycznych noszach i ruszyły w dół klatki schodowej naszego liceum. Śmiechu było co niemiara.

Wolałyśmy, kiedy na lekcjach PO coś się działo, niż słuchać ciągnącego się jak flaki z olejem wykładu o wyższości Układu Warszawskiego nad NATO. Lekcja zawsze zaczynała się musztrą typu baczność/spocznij, a my pod nosem śpiewałyśmy: „My nie chcemy więcej wojny, chcemy żyć życiem spokojnym...”. Taki mały ruch oporu z ostatnich ławek.

Na studiach było „wojsko” - obowiązkowe zajęcia w czwartek od 7 rano. Byliśmy „zachwyceni”, tym bardziej że zajęcia prowadzili emerytowani sztabowcy. Ciekawie zrobiło się dopiero, kiedy walnął Czarnobyl, a oni nam pokazywali czujniki promieniowania i uczyli, jak rozpoznawać różne gazy bojowe.

W harcerstwie było znacznie więcej praktyki niż gadki-szmatki: orientowanie mapy, bieg na azymut, pierwsza pomoc (już nie musiałam robić za ranną) czy budowanie szałasów z gałęzi albo rozpalanie ogniska bez zapalek (da się!). Dzisiaj mówi się na to survival, dla nas to był po prostu sposób na wakacje.

Jakieś umiejętności zostały, inne przepadły w odmętach niepamięci z braku ich wykorzystywania. Normalka. Zamiast papierowej mapy mam GPS w samochodzie i mapy Google w telefonie. Lnianych zasłon na oknach chyba nie miałam nigdy, a w szkołach są raczej żaluzje, więc do zrobienia prowizorycznych noszy się chyba nie przydadzą. I obyśmy nigdy nie musieli sprawdzać, że może jednak coś się z nich da zrobić.

Generał w stanie spoczynku, Jarosław Kraszewski, głośno mówi o potrzebie przywrócenia lekcji przysposobienia obronnego w szkołach, ale od razu zaznacza: byle z głową, a nie nauka o tym, jak koniowi włożyć maskę gazową (pewnie pamięta to z podręczników - były tam takie zdjęcia instruktażowe, a lekcje typu „maski włoż/maski zdejm” należały do najweselszych). Super - tylko kim to zrobić? Moja pani profesor od PO była nauczycielką historii, a te zajęcia prowadziła jako dodatkowe. Ilu dzisiaj nauczycieli chciałoby i wiedziało, co i jak? No, proszę - kto się zgłasza?

Robi się poważnie.

Kiedy remontowaliśmy kamieniczne mieszkanie po babci, w kredensie znaleźliśmy dwa metalowe wiaderka: z solą, która zbryliła się na kamień, i z krochmałem (mąką ziemniaczaną). Z dzieciństwa pamiętam babcię, która - kiedy stygł już kuchenny piec - rozkładała na płycie starannie pokrojone kromki chleba. Po co? - pytałam rodziców.

- Wiesz, robi takie suchary.

- Przecież są w sklepie - wzruszałam ramionami.

Moja babcia przeżyła dwie wojny.

Leszek Waligóra

HA, PALEC SPUSTOWY SIĘ ZMIENIŁ!



A

my znów szykujemy się do wojny, choć nawet nie radzimy sobie z pokojem.

Ale skoro już, to przyjrzyjmy się, jakie mamy szanse. I co z tym zrobić...

Moi koledzy, w wieku zbliżonym, czyli już sięgającym stanów średnich, jak jeden mąż mówią, że ojczyzny to oni by własną pierśią i od razu. Ci, którzy crossfit i piłkę kopią, czasem nawet wiedzą, którym końcem trzyma się karabin. Ale im dalej w las, tym gorzej. Bo jeden ma haluksy i płaskostopie, więc nie żadne wojskowe obuwie, tylko specjalne, trekkingowe. Drugi ma wysypkę i jeśli w mundur, to z zasypką. A trzeci syndrom drażliwego jelita, więc jeśli na wojnę, to żeby blisko do toalety było. A wszyscy jak jeden mąż myślimy, że każdy się nadaje do wywiadu. Wiecie, James Bond, te sprawy. W końcu generałów do wojska nie biorą. Coś w tym jest, że wojny wszczynają staruszkowie z problemami z prostatą, a pierwsi na nich giną ojcowie rodzin, ci z brzuszkiem. Podejrzewam, że nie z powodu odebranego ćwierć wieku temu podstawowego przeszkolenia wojskowego, z którego zapamiętali tylko śpiewy z pójścia do rezerwy. Nie, po prostu starszy pan z brzuszkiem to taka tarca chroniąca słabszych. Duża, nieruchawa, więc trafić łatwiej.

Ale kto ma teraz do tego podstawowego szkolenia iść? Ci wysportowani? Jak wieść niesie, jak nie założą obcisłego wdżianka, to kilometra nie przebiegną. A przeciętny polski piłkarz bez starannie ułożonej fryzury gotów zadyszkę dostać. Są oczywiście maratończycy i triathloniści, ale widział ktoś kiedyś maratończyka w wojskowym obuwii i z plecakiem?

Ponoć do obsługi karabinu wystarczy tylko jeden sprawny palec. Młódzież ma sprawne palce, nawet dwa. Sęk w tym, że kciukami spustu nacisnąć się nie da. A oni zapomnieli nawet, że palec spustowy to ten od dźubania w nosie. Nie dźubią, bo się brzydzą.

Zresztą o czym ja tu. Na wojnę bez zrobionych paznokci nie pójda, a jak pójda, to im te spodnie rurki w przysiadach popękają. Na bank mundury za modą nie podążają. Zresztą, my armii mło-

dych nie wystawimy, bo najlepiej nam wychodzi narodowe wystawianie zwolnień z wuefu. Jak nie mają nadwagi, to cukrzycę, a jak nie to, to depresję. Albo i to, i to, i to. A przede wszystkim - czas skupienia złotej rybki. Jak im instrukcji obrony ojczyzny nie streścisz w filmiku na Tik-Toku, to gotowi ojczyznę z włoszczyzną pomylić, a zamiast przelewu krwi cudzej przelewać cafe latte. Owsiane.

Dość już krotochwil. Obawy mam, że pokole nie ramoli, szykujące dobrowolne szkolenia wojskowe, poradzi sobie z nimi równie źle, co z polską edukacją. Będzie szkolić do wojen, które już się odbyły. Kto wie, może nawet posługiwanie się kopią w skrzydlatej zbroi uczyć będą. Ale na pewno będzie musztra, karabin, ale już niekoniecznie, jak opatrzyć rannego kumpla, bo tego nawet ze szkoły w czasach pokoju nie wynosiliśmy.

Tymczasem Ukraina pokazała, że sposób toczenia wojny zmienia się z dnia na dzień. I najważniejszą kompetencją żołnierza, ale i kraju, który go wystawia, nie jest kierowanie karabinu lufą w stronę wroga, ale umiejętne i elastyczne korzystanie z mózgu. Podczas gdy Polska od blisko 10 lat próbuje - na razie bez skutku - kupić w ramach przetargu dwa drony morskie, Ukraina tyle wypuszcza w niebo, hmmm, na minutę. Gdy my ogłaszamy światu udany zakup kilku dronów z Turcji, Ukraińcy już dawno zmienili ich zastosowanie, bo te, które kupili, są już przestarzałe. I kombinują kolejne, bo wróg wymyśla sposoby nawet na te najlepsze. Ale w końcu lepiej tracić na wrogu drony niż ludzi. Drona można zastąpić dronem, ale całego pokolenia Baczynskich i potencjalnych Einsteinów zastąpić się nie da. Wystarczy jednak znaleźć dla nich zastosowanie na wojnie zgodnie z ich powołaniem. Może te farbowane młodziki w rurkach, które wpadają w depresję, gdy złamią paznokieć, ale za to mają od swoich komórek znakomicie rozwinięte kciuki, mają zdecydowanie większe kompetencje do prowadzenia dronowej wojny przyszłości niż takie ramole (z brzuszkiem lub bez) niż ja?

Wiecie, Polska nie ma najlepszej armii świata, nie jest nawet w czołówce. Poza jedną formacją. Polskie wojsko cyfrowe - to, które tworzą nerdy w okularach Harry'ego Pottera - plasuje się na szóstym miejscu na świecie.

Serio.

Robimy wszystko, żeby Polska była bezpieczna, żeby Tarcza Wschód była wspólnym zadaniem dla całej Europy. W Parlamencie Europejskim tylko poplecznicy Rosji zagłosowali przeciw. W tym... PiS! Koniec złudzeń

Dziwny i nieoczekiwany sojusz Donalda Trumpa z Elonem Muskiem zaskoczył świat w trakcie kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych. Początkowo wiele osób nie mogło uwierzyć, że najbogatszy człowiek świata zdecydował się zaangażować w wybory i postawić tak wiele na jednego z kandydatów. Ale z czasem, gdy do mediów docierało coraz więcej szczegółów „umowy” Trumpa z Muskem, kropki zaczęły łączyć się same.

Elon Musk zainwestował w Trumpa potężne pieniądze, mnóstwo czasu i energii, ponieważ wiedział, że inwestycja może mu się opłacić. I tak właśnie się stało – dziś w Białym Domu po raz drugi w swojej politycznej karierze urzęduje Trump, a właściciel m.in. Tesli i SpaceX zbiera potężne żniwo udzielonego mu wsparcia. Problem w tym, że większość jego dotychczasowych działań wzbudza niezrozumienie nawet wśród wyborców Partii Republikańskiej.

Zwalniają, więc będą... zwalniać

„Zwalniają, znaczy będą zatrudniać” – lubił powtarzać znakomity dziennikarz Paweł Zarzeczny, gdy w mediach pojawiały się informacje o redukcji zatrudnienia przeprowadzanych w różnych branżach. I z reguły to powiedzenie w mniejszym lub większym stopniu się sprawdzało. Aż wreszcie przyszedł Elon Musk, z nadania Trumpa stanął na czele DOGE (Departamentu Efektywności Rządu) i postanowił wywrócić słynne hasło do góry nogami.

Masowe zwolnienia nie są dla Muska pierwszą. Gdy w 2022 roku za ponad 40 miliardów dolarów kupił platformę Twitter, jedną z jego pierwszych decyzji było pozbycie się ponad połowy pracowników przedsiębiorstwa. W sumie podczas pierwszych kilku miesięcy jego panowania w X (tak nazywa się dziś Twitter) pracę straciło około 90 procent pracowników. Zwolnienia dotknęły rzecz jasna cały rząd, ale wyrzucano również osoby przysługujące – łącznie ze szprycarzami.

Według Muska tylko takie działanie mogło doprowadzić do „uzdrowienia” sytuacji finansowej firmy. Najbogatszy człowiek świata działał przy tym jednak tak nierozważnie i bezmyślnie, że zwalniał ludzi szalenie istotnych, których firmie momentalnie bardzo brakowało. Sam przyznawał później w wywiadach, że będzie starał się zatrudnić ponownie część zwolnionych osób.

Wydawać by się mogło, że nauczony takim doświadczeniem Musk powinien być dziś

SPADAJĄCA GWIAZDA ELONA MUSKA

Ostatnie działania Elona Muska wzbudzają głębokie niezrozumienie nawet wśród zwolenników Partii Republikańskiej. Wpływają też destrukcyjnie na majątek multimiliardera i stawiają pod znakiem zapytania przyszłość jego licznych przedsiębiorstw i biznesów

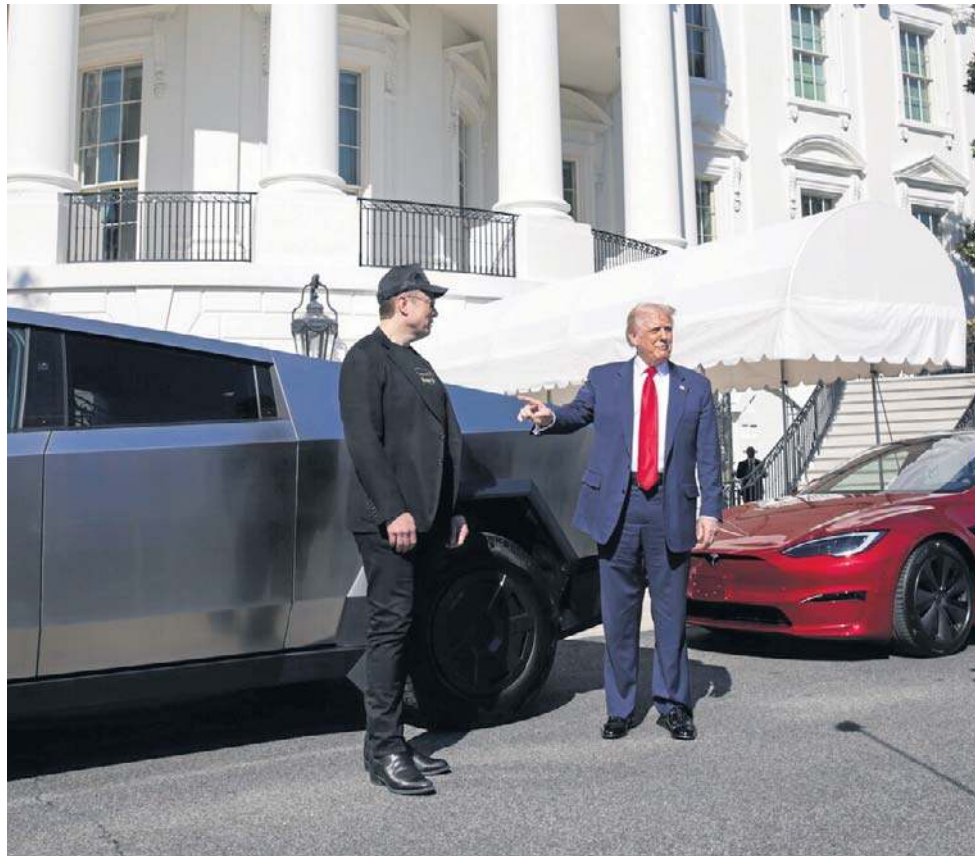
Kacper Rogacin

dużo bardziej ostrożny i powściągliwy we wręczaniu ludziom wypowiedzeń. Cóż, okazuje się, że multimiliarder nie uczy się na swoich błędach. Na początku bieżącego roku z inicjatywy dowodzonego przez Muska DOGE przeprowadzono redukcję zatrudnienia w wielu federalnych instytucjach. Dotknęło to m.in. Narodową Administrację Bezpieczeństwa Jądrowego (NNSA), która odpowiada za nadzór nad arsenałem nuklearnym Stanów Zjednoczonych. Problem w tym, że zwolnienia były nieprzemysłane. Okazało się, że niektóre osoby, którym wręczono wypowiedzenia, były absolutnie kluczowe dla dbania o tę szalenie ważną kwestię. Jak donosiło NBC News, już następnego dnia po zwolnieniach administracja NNSA musiała więc prosić część zwolnionych o powrót do pracy. Co jeszcze bardziej kuriozalne, z wieloma osobami nie dało się skontaktować, ponieważ odebrano im dostęp do służbowych skrzynek mejlowych, a ich prywatnych adresów kontaktowych... nikt nie znał.

Zaskakujący skręt w prawo

Urodzony w Pretorii w RPA Elon Musk uzyskał amerykańskie obywatelstwo w 2002 roku i od samego początku zamierzał korzystać z prawa do głosowania w wyborach. Jak sam przyznał, do 2022 roku głosował na kandydatów Partii Demokratycznej, miał „umiarkowane” poglądy, ale utożsamiał się bardziej z ideami oraz hasłami głoszonymi przez przedstawicieli tego właśnie stronnictwa politycznego.

Ale w ostatnich latach całkowicie zmienił swój sposób patrzenia na świat. Zaczął mocno popierać prawo do posiadania broni, głosić hasła wolności słowa ponad wszystko czy prezentować postawy antyimigranckie (samemu będąc przecież imigrantem). Był również oskarżany o wypowiedzi antysemitowskie, a w ostatnim czasie zaangażował się bardzo mocno w popieranie niemieckiej skrajnie prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec, której



Elon Musk poprosił Donalda Trumpa, by ten wsiadł do jego samochodów i pomógł mu ratować tonące akcje Tesli. Jak na razie ta taktyka nie przyniosła efektów

politycy są znani z wypowiedzi ocierających się o rasizm, ksenofobię, nazizm, a także postulują rewizjonizm historyczny.

W amerykańskich mediach panuje przekonanie, że jedną z przyczyn tak drastycznego skrętu Muska w prawo jest coming out, jakiego dokonało jedno z jego dzieci. W 2004 roku na świat przyszedł Xavier. W wieku kilkunastu lat przeszedł korektę płci i dziś funkcjonuje jako Vivian Wilson.

W swoim oświadczeniu Vivian Wilson przyznała, że ojciec nie spędzał z nią czasu, tak naprawdę jej nie zna i nie wspierał jej w procesie tranzytacji.

– Był zimnym, nieczułym i narcystycznym ojcem. Nie spędzał z nami czasu. Bardzo szybko wpadał we wściekłość – stwierdziła Wilson w wywiadzie dla NBC News. Opisała również, jak jej ojciec zmuszał ją do zachowywania się bardziej „męsko”, a nawet do obniżania tonu głosu, by brzmiał „mniej kobieco”.

Sam Musk powiedział, że Vivian „nie jest kobietą”,

a także dodał, że jego „syn został zabity”. Zasugerował również, że jako ojciec został „zwiądzony” i zgodził się na zatwierdzenie procesu tranzytacji, gdy jego dziecko miało 16 lat.

– To nieprawda. Dobrze wiedział, pod czym się podpisuje i zgodził się na to – wyjaśnia Vivian Wilson.

Musk za decyzję córki o korekcie płci obwinia jednak nie siebie, a „lewą ideologię”. I to właśnie to wydarzenie, zdaniem wielu osób, popchnęło go do radykalnej zmiany poglądów.

Słowa córki ponownie za raz kolejny udowadniają, że miliarder zdaje się nie wyciągać wniosków z przeszłości i to nawet w kwestiach tak ważnych, jak relacje z najbliższymi. W końcu to on sam mówił o własnym ojcu, Errolu Musku, że ten był „złym człowiekiem”, który nie interesował się swoimi dziećmi.

Zwrot w podejściu do Ukrainy

Nie jest do końca jasne, z czego wynika całkowita zmiana zdania Elona Muska na temat Ukrainy. Być może jest to efekt

jego bliskiej współpracy z Donaldem Trumpem, którego podejście do naszych wschodnich sąsiadów drastycznie różni się od tego, które prezentował jego poprzednik – Joe Biden.

Faktem jest jednak, że Musk, który jeszcze w 2022 roku pisał: „Trzymaj się, Ukraino”, dziś twierdzi, iż w zasadzie... nie ma różnicy między Rosją a Ukrainą.

Jeden z internautów spytał go, skąd taka nagła zmiana zdania. Miliarder odpowiedział, że „Rosja posunęła się za daleko trzy lata temu, a teraz za daleko posunął się rząd Ukrainy”.

Amerykańscy obserwatorzy twierdzą, że być może Musk naciska na zakończenie wojny nawet kosztem wielkich ustępstw ze strony Ukrainy wobec Rosji, ponieważ liczy, że intratna umowa dotycząca eksploatacji przez USA ukraińskich minerałów ziem rzadkich mogłaby zmnożyć jego majątek. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby taką eksploatację rozpoczęto, to Trump przekazałby sporą część „minerałowego tortu” właśnie Muskowi.

Możliwe więc, że Musk chce nastraszyć Ukraińców, by ci jak najszybciej zgodzili się na niekorzystny dla nich traktat pokojowy. W ostatnim czasie miliarder w zawałowany sposób sugerował przecież, że mógłby wyłączyć system Starlink nad Ukrainą, co drastycznie pogorszyłoby sytuację ukraińskiej armii (choć później stwierdził, że nigdy tego nie uczyni).

Ale Musk nieustannie wyprowadza słabsze lub mocniejsze ciosy w stronę Ukrainy. Doszło nawet do tego, że oskarżył Ukrainę o niedawny cyberatak na należący do niego portal X.

Imperium trzęsie się w posadach

I to właśnie wspomniany atak pokazał, jak chwiejne może być imperium Elona Muska. Niezwykle popularny portal X przestał działać na kilka godzin, co wywołało dyskusję na temat kondycji przedsiębiorstw należących do Muska. Jeśli bowiem hakerzy mogą na długi czas uzależnić „iksa”, to może również i inne firmy miliardera nie są tak solidne?

Rzecz jasna SpaceX, czyli kosmiczne oczko w głowie Muska, jest raczej „poza konkurencją” z uwagi na astronomicznie wysokie kontrakty z NASA oraz innymi agencjami kosmicznymi, ale już Tesla, czyli druga perełka w koronie ekscentrycznego bogacza, poniosła w ostatnim czasie potężne straty.

W dniu zaprzysiężenia Donalda Trumpa na prezydenta jedna akcja Tesli kosztowała – w przeliczeniu – około 1800 złotych. Od tego czasu jednak wartość Tesli nieustannie się obniża, przez co 11 marca osiągnęła poziom 884 złotych.

Musk postanowił ratować się znajomością z Trumpem. Prezydent oświadczył, że spadek wartości akcji Tesli to próba „nielegalnego bojkotu” prowadzonego przez „radykalnych lewicowych szaleńców”.

Takie wsparcie na niewiele się jednak zdało, bo firma na giełdzie w dalszym ciągu szoruje po dnie i niewiele wskazuje na to, by coś miało się w tej kwestii zmienić.

„W dłuższej perspektywie będzie dobrze” – napisał Musk. Pytanie jednak, czy „dobrze” to już nie będzie.

- W latach 80. napisałem książkę o kandydacie na prezydenta, którego opętał diabeł, i dzięki temu wygrał wybory. Kiedy spojrzymy na karierę Donalda Trumpa, trudno nie zauważyć podobieństw - mówi Graham Masterton

Maciej Szymkowiak

KRÓL HORRORÓW: POLSKA DEMONOLOGIA JEST FASCYNUJĄCA

Spotkaliśmy się po raz pierwszy trzy lata temu. Rozmawialiśmy o wojnie w Ukrainie. Mięło sporo czasu, ale nic się nie zmieniło na lepsze. Wiele osób zobojeźniało, a czy pana wojna nadal niepokoi?

Oczywiście, że tak. Mam ukraińskich przyjaciół, ale najbardziej martwi mnie potencjalne zagrożenie dla Polski. Wydaje się, że Władimir Putin chce odbudować sowieckie imperium, przywrócić Związek Radziecki do czasów jego świetności. Najgorszą rzeczą, jaką mogę sobie wyobrazić, jest to, by Polska wróciła do realiów, które pamiętam z końca lat 80. Po raz pierwszy przyjechałem do Polski w 1989 roku, gdy komunizm dogorywał, ale wciąż było widać jego skutki. Było tragicznie. A teraz? Polska stała się krajem prosperującym, ciekawym miejscem do życia. Doszło nawet do tego, że rozważam zamieszkanie tutaj na stałe. Oczywiście muszę brać pod uwagę sytuację polityczną, ale mimo to jestem pod ogromnym wrażeniem zmian, jakie zaszły w Polsce.

To ciekawe, a obecnie mieszka pan w rodzimej Szkocji czy Anglii?

Mieszkam w południowej Anglii, w Cranleigh - to miejscowość położona wśród wzgórz.

Wielu autorów wykorzystuje w swoich książkach aktualne wydarzenia polityczne i społeczne. Czy pana powieści również czerpią inspirację z niepokojów rzeczywistości?

Tak, choć czasem są wręcz proste. W 1981 roku napisałem powieść grozy „Diabelski kandydat”, w której republikański kandydat na prezydenta USA zostaje opętany przez diabła i dzięki temu wygrywa wybory. Kiedy spojrzymy na karierę Donalda Trumpa, trudno nie zauważyć podobieństw... Napisałem też powieść „Ikon”, w której Kennedy ulega presji Chruszczowa podczas kryzysu kubańskiego. W tej alternatywnej wersji historii, od 1963 roku Stany Zjednoczone są potajemnie rządzone przez Rosję. Dziś,

patrząc na polityczne układy, można odnieść wrażenie, że to wcale nie jest tak dalekie od rzeczywistości. Z kolei w książce „Ofiara” przedstawiłem wizję świata, w której Ameryka niemal oddaje Europę Rosji w zamian za pokój. Niestety, również i ta historia wydaje się dzisiaj niepokojąco aktualna.

Spodziewał się pan, że Donald Trump zostanie ponownie wybrany na prezydenta?

Szczerze mówiąc, jestem tym zdumiony. Rzadko wypowiadam się politycznie, ale na prawdę nie mogę uwierzyć, że ponad 30 proc. Amerykanów zagłosowało w ten sposób.

Oglądał pan kolejną już, najnowszą adaptację „Draaculi” Brama Stokera, czyli „Nosferatu” Roberta Eggersa? Nie.

Pytam, bo pana książki są niezwykle popularne, ale niewiele z nich doczekało się ekranizacji. Dlaczego? Czy nie chciał pan, by zostały przeniesione na ekran?

Oczywiście, że chciałem! Pierwsza powieść grozy, jaką wydałem - „Manitou” - została niemal natychmiast zekranizowana. Film nakręcił młody reżyser William Girdler, a w obsadzie znalazł się m.in. Tony Curtis. Film odniósł sukces, więc zaczęliśmy pracę nad kolejnym - ekranizacją książki „Dzinn”. Niestety, Girdler zginął w wypadku helikoptera podczas przygotowań do innego projektu na Filipinach. To był koniec naszej współpracy i, niestety, również mojego wejścia do Hollywood. Łącznie 11 moich książek zostało wykupionych z opcją filmową - wytwórnie płaciły mi za prawa do ekranizacji, ale nigdy nie doszło do realizacji filmów. Czasem powstawał scenariusz, znajdowano reżysera, ale na końcu zwykle brakowało pieniędzy. Horror, zwłaszcza ten wykorzystujący CGI, są bardzo kosztowne. Mimo wszystko nadal się staram. Może pewnego dnia dorównam Stephenowi

Kingowi pod względem liczby ekranizacji.

Lubi pan w ogóle oglądać filmy grozy?

Nie oglądałem horrorów. Po całym dniu pisania grozy ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest czytanie lub oglądanie horrorów. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, jaki był ostatni film grozy, który obejrzałem - chyba „Egzorcysta”, czyli to było dawno temu. Nie czytam też horrorów, chociaż znam autorów literatury grozy - parę razy wymieniliśmy się wiadomościami ze Stephenem Kingiem, a także znam innych pisarzy horrorów - ale wolę jednak sięgać po literaturę faktu, książki historyczne itd.

Wspomniał pan Stephena Kinga. Macie dobre relacje? Lubicie się?

Nie znamy się na tyle dobrze, żeby mówić o sympatii czy antypatii. Kilka razy wymieniliśmy listy, prowadziliśmy krótkie rozmowy. King przeczytał jedną z moich książek i napisał opinię, w której stwierdził: „God, he's good” (Boże, jest dobry). Nie jestem pewien, czy miał na myśli mnie, czy Boga.

Ma pan z kolei jakąś jego ulubioną powieść?

Przeczytałem tylko jedno z jego opowiadań - i to wszystko. Na prawdę nie czytam horrorów.

Niektórzy twierdzą, że pana książki są zbyt brutalne. Czy zdarzyło się panu zmienić coś w fabule, bo uznał pan, że przekroczył pewną granicę?

Zdecydowanie tak, ale co ciekawe, nie dotyczyło to brutalnych scen z udziałem ludzi, tylko... psa. W mojej serii kryminalnej o irlandzkiej detektyw

Katie Maguire jej pies, irlandzki seter Barney, został ciężko ranny i w książce pozostawiłem otwarte zakończenie sugerujące, że może umrzeć. Reakcja czytelników była ogromna - protestowali, pisali do mnie listy. Ludzi można torturować i zabijać na każdej stronie książki, ale jeśli coś dzieje się zwierzęciu, to autor natychmiast staje się wrogiem numer jeden. Dlatego w kolejnej powieści postanowiłem, że Barney zostanie uratowany przez weterynarza i przeżyje.

W horrorach często pierwszą ofiarą jest zwierzę, zanim morderca zacznie zabijać ludzi. To powszechny motyw. Tak, to prawda, ale czytelnicy reagują na to bardzo negatywnie. Poza tym w książkach kryminalnych staram się ba-

zować na rzeczywistych zbrodniach. Morderstwa są brutalne - tego nie da się obejść. Można pisać w stylu Agaty Christie, gdzie dochodzi np. do utopienia w wannie, ale prawdziwe zbrodnie wyglądają inaczej.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy powiedział mi pan, że życie bywa bardziej brutalne niż fikcja.

Zdecydowanie. Jako dziennikarz widziałem rzeczy, które przewyższają okrucieństwem jakiegokolwiek horror. Na przykład kiedyś byłem świadkiem, jak młody mężczyzna wpadł pod pociąg i został przecięty na pół. Najgorsze było to, że jeszcze przez chwilę żył i rozmawiał z ratownikami, zanim umarł. To były najbrutalniejsze sceny, jakie widziałem w życiu - i nie ma niczego, co mogłbym wymyślić w książce, co byłoby strasz-

niejsze od tego, co dzieje się naprawdę.

Czy uważa pan, że codzienne wiadomości są bardziej szokujące niż pana książki? W każdej gazecie można znaleźć informacje o śmierci, chorobach i innych tragediach.

Tak, czasem trudno nadążyć za tym, jak złe rzeczy się dzieją. Zwłaszcza gdy mamy do czynienia z sytuacją taką jak wojna w Ukrainie - niewinni ludzie cierpią i giną. To coś, co po prostu wstrząsa do głębi.

Zauważyłem, że na okładce jednej z pana książek pojawił się znak „18+”. Nigdy tego wcześniej nie odnotowałem. Tak, pojawił, ale tylko w Polsce. W angielskim wydaniu tego nie ma.

Czego to może być znak, że społeczeństwo się zmienia? Jest wrażliwsze?

Nie wiem, czy chodzi o zmiany społeczne, ale na pewno moje książki ewoluują razem z czasami, w których żyjemy. W niektórych historiach pojawiają się dzieci jako ofiary, co dla niektórych może być trudnym tematem.

Muszę zapytać o coś, co ciekawi wielu polskich czytelników, zwłaszcza z Poznania. Umieścił pan akcję jednego z opowiadań z „Dni śmiertelnego strachu” we Wrocławiu. Na łamach pana powieści „Dziecko ciemności” pojawia się też Warszawa. Czy możemy kiedyś spodziewać się książki, której akcja będzie osadzona w Poznaniu?

To bardzo możliwe. Może w przyszłości. Na razie jednak pracuję nad czymś nowym i akcja będzie osadzona w Gdańsku, pojawi się potwór z morza... Ale nie martw się, pomyślę o Poznaniu.

Swoją drogą często odwiedza pan Poznań - nie jest to bynajmniej pana pierwsza wizyta. Zgadza się. Pierwszy raz byłem tutaj w 1989 roku, tuż przed upadkiem komunizmu.

Od tamtej pory odwiedzałem Poznań wielokrotnie, szczególnie ze względu na moich wydawców i spotkania z czytelnikami.

Interesuje pana polski folklor i kultura?

Tak, zdecydowanie. Współpracuję z Karoliną Mogielską, która ma ogromną wiedzę na temat polskiej demonologii i mitologii. Wspólnie napisaliśmy kilka opowiadań inspirowanych polskimi demonami, takimi jak Dziewanna - dzika bogini lasu - czy o demonicznym kocie. Pracujemy nad zbiorem opowiadań opartych na polskiej mitologii i mamy nadzieję, że ukaże się on w przyszłym roku. Na razie mamy już trzy ukończone historie.

Skąd pomyśl na historię o „Czerwonym Rzeźniku” z „Dni śmiertelnego strachu”? Przeczytałem o pewnym rzeźniku z Wrocławia, który robił kiełbasy z dzieci, więc nawet nie musiałem tego wymyślać.

Czy są jakieś historie grozy, których pan nie lubi, bo uważa je za przereklamowane lub przesadzone? Może jakieś wampiry lub duchy, które są już zbyt wyeksploatowane?

Od samego początku staram się unikać pisania o wampirach, wilkołakach czy zombie, bo jest ich po prostu zbyt wiele. Świat jest pełen znacznie ciekawszych i bardziej przerażających rzeczy. Wystarczy spojrzeć na polską demonologię - liczba fascynujących, przerażających istot, jakie się w niej pojawiają, mogłaby posłużyć za materiał na setki książek. Na przykład Południca - zjawia, która pojawia się na polach w samo południe. Właśnie takie oryginalne inspiracje staram się odnajdywać. To jeden z powodów, dla których „Manitou” odniósł tak wielki sukces - prawie nikt wcześniej nie pisał o tej tematyce. Zresztą historia ta miała swój nieoczekiwany epilog - wnuczka słynnego indiańskiego wodza Sie-

*LUDZI NA ŁAMACH KSIĄŻKI
MOŻNA TORTUROWAĆ I ZABIJAĆ,
ALE JEŚLI COŚ STANIE SIĘ ZWIERZĘCIU,
TO NATYCHMIAST STANIE SIĘ WROGIEM NUMER JEDEN*

dzącego Byka była tak zachwycona „Manitou”, że zaprosiła mnie na lunch do The Russian Tea Room w Nowym Jorku. Podarowała mi również jego fotografię z autografem i napisem: „Nie ujrzę już więcej bizonów”.

A przyśnił się panu kiedyś jakiś koszmar, z którego zrobił pan horror?

Nie wiem o koszmarach. Czasem mam dziwne sny, ale generalnie śpię bardzo dobrze. Myślę, że to dlatego, iż cały strach i napięcie zostawiam na kartach moich książek – gdy kończę dzień pracy, jestem już całkowicie oczyszczony z mrocznych wizji i mogę spać spokojnie.

Czy pana rutyna pisarska zmieniła się na przestrzeni lat?

Tak, zmieniła się, głównie dlatego, że się starzeję. Kiedyś potrafiłem pisać nawet trzy książki rocznie, pracując od rana do późnej nocy. Teraz pracuję wolniej – więcej czasu poświęcam na redakcję i poprawki. Każdego dnia zaczynam od dokładnego przejrzania tego, co napisałem dzień wcześniej, zanim przejdę do kolejnych stron. Poza tym dużą zmianą w moim pisarstwie była współpraca z Karoliną. Jej energia i nowe pomysły dały mi dodatkowy zastrzyk twórczej motywacji. Bardzo lubię pisać z nią opowiadania – wnosi mnóstwo świeżości i entuzjazmu.

Obecnie pisze pan przede wszystkim dla siebie, czy bardziej już dla fanów pańskiej twórczości?

Nie nazywam ich „fanami”, bo to określenie wydaje mi się nieodpowiednie. To po prostu moi czytelnicy, ale piszę dla nich, by ich bawić i angażować, ale jednocześnie ma to sprawiać przyjemność także mnie.

Czytelnicy często się z panem kontaktują?

Tak, dostaję sporo wiadomości – dawniej były to głównie listy papierowe, teraz częściej e-maile i wiadomości na Facebooku. Wciąż zdarza mi się otrzymywać listy od więźniów z polskich zakładów karnych. Staram się odpowiadać na tyle, na ile mogę.

Mają jakieś szczególne życzenia?

Najczęściej czytelnicy chcą, żebym podpisał im książkę. Bardzo często dostaję też wiadomości od początkujących pisarzy, którzy pytają, czy przeczytałbym ich pierwszą powieść grozy i napisał dla nich rekomendację na okładkę. Albo proszą, żebym ocenił ich opowiadanie. Zazwyczaj odmawiam, bo po prostu nie mam na to czasu – odpowiadam za to: Powodzenia!



FOT. ROBERT WOZNAK

Graham Masterton pracował jako reporter i redaktor. W 1976 roku zadebiutował horrorem „Manitou”, który stał się światowym bestsellerem. Napisał ponad 150 książek

Wspomnił pan o więzieniach. Pana książki cieszą się popularnością w polskich zakładach karnych.

Tak, absolutnie. Wszystko zaczęło się od mojej pierwszej wizyty w więzieniu w Wołowie, w którym miałem spotkanie z osadzonymi. Okazało się, że byli bardzo zainteresowani literaturą i pisanie, więc podczas lunchu z naczelnikiem zaproponowałem, abyśmy zorganizowali konkurs literacki dla więźniów. I tak powstał Ogólnopolski Konkurs Literacki „W więzieniu pisane”, który trwa do dzisiaj. Jestem z niego niezwykle dumny, ponieważ wiele opowiadań napisanych przez więźniów jest naprawdę znakomitych – niektóre to historie grozy, ale wiele z nich opiera się na ich własnych przeżyciach. Pisanie daje im możliwość podzielenia się swoją historią i świadomością, że ktoś na zewnątrz ich słucha i próbuje zrozumieć, przez co przeszli. Niektórzy wciąż pozostają obojętni na swoje czyny, ale wielu żałuje i mówi: „Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym wszystko inaczej”. Pisanie jest dla nich pewnym sposobem na refleksję i pogodzenie się z przeszłością.

Takie emocje chce pan wywołać w swoich czytelnikach? Nie tylko strach, ale też np. nostalgię, współczucie?

Nie, nie tylko strach. W moich książkach często pojawia się

miłość, żal, a czasem nawet romantyzm. Uważam, że dobre historie powinny zawierać elementy emocjonalne – to sprawia, że bohaterowie są bardziej wiarygodni. A jeśli postacie są prawdziwe, wtedy czytelnik bardziej przeżywa to, co im się przytrafia, i sama groza staje się mocniejsza.

Jak zaczęła się pana współpraca z Dawn G. Harris, z którą napisaliście dwa opowiadania wydane w „Dniach śmiertelnego strachu”?

Dawn jest bardzo ambitną pisarką, ale pracuje w sklepie charytatywnym i nie ma zbyt wiele czasu na pisanie. Pierwszą książką, nad którą razem pracowaliśmy, była „Diviner” – powieść o kobiecie z mocą jasnowidzenia. Pomogłem jej w opracowaniu tekstu i udało się ją opublikować, również we Francji. Nasza metoda pracy jest dość nietypowa – Dawn pisze dwie strony, potem daje je mnie, ja dopisuję kolejne dwie i odsyłam jej. W ten sposób tworzymy historię na bieżąco, bez ustalonego z góry zakończenia. To sprawia, że samo pisanie staje się dla nas świetną zabawą.

Czy planujecie dalszą współpracę, czy to była jednorazowa współpraca?

Mam nadzieję, że napiszemy razem jeszcze kilka opowiadań, ale dla nas obojga największym

problemem jest brak czasu. Ona jest bardzo zajęta, a ja pracuję nad obszerną powieścią kryminalną, która wydaje się nie mieć końca.

W Polsce w czerwcu ukaże się piąty tom cyklu z Pateli i Par-doe. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej o „Domu much”?

To historia o przerażającej, niemal biblijnej pladze much. W Biblii można znaleźć fragment: „Pan zesłał roje much na ziemię...”. Fabuła sięga zatem do postaci demona Belzebuba, którego szczątki zostają odnalezione przez naukowca w Izraelu. Jego eksperymenty sprawiają, że uwalnia on gigantyczne roje much. I właśnie o tym jest ta powieść.

Teraz pytanie, za które mnie pan znienawidzi – kogo pan woli: Dżamilę Patel czy Katie Maguire?

To trudne pytanie. Lubię pisać o obu bohaterach. Cenię różnice między nimi – nie tylko pod względem płci, ale i pochodzenia. Lubię Katie za to, że jest taka irlandzka. Pisanie o Katie to zupełnie inne doświadczenie, bo Irlandczycy mają specyficzny sposób bycia – kiedy tworzę irlandzką książkę, czuję, jakbym przez chwilę sam stał się Irlandczykiem. To trochę jak... chwilowe szaleństwo! (śmiech) Śmieszne jest to, że irlandzkie dowcipy i polskie

dowcipy są do siebie bardzo podobne. W Irlandii, jeśli opowiesz irlandzki dowcip, wszyscy się śmieją. Ale jeśli powiesz ten sam żart w Polsce, możesz dostać w nos.

Opowiesz taki dowcip?

Na przykład: Dwóch Irlandczyków idzie drogą. Jeden znajduje coś błyszczącego, podnosi i mówi: – O, zobacz, to zdjęcie kogoś znajomego! (To było lustro). Podaje je drugiemu, a ten mówi: – Oczywiście, że go znasz, to przecież ja! Takie są irlandzkie dowcipy – trochę absurdalne, trochę szalone. I myślę, że to właśnie sprawia, że pisanie książek z irlandzkimi bohaterami jest tak ekscytujące.

Ile czasu zajmuje panu napisanie książki?

Książki kryminalne piszę średnio od trzech do czterech miesięcy. Niektóre powieści zajmują mi około pół roku. Kiedyś pisałem znacznie szybciej – „Manitou” powstało w dziesięć dni. Podobnie było z „Fobią”, która niedawno została opublikowana – napisałem ją w mniej niż dwa tygodnie.

A zna pan jakichś polskich pisarzy?

Och, jakbym tylko mógł czytać w języku polskim!

W każdym razie książki niektórych z nich są tłumaczone na angielski.

Nie czytam zbyt wiele beletrystyki – kiedyś to robiłem, ale teraz staram się tego unikać. Po prostu nie chcę, by czyjaś twórczość wpływała na mój styl pisania. Jestem bardzo krytyczny wobec własnych tekstów, a gdy czytam cudze książki, zdarza mi się myśleć: „O, to zdanie mogło być lepsze!”. Więc dla własnego dobra rzadko sięgam po fikcję.

To jakie jest pana hobby niezwiązane z literaturą?

Kiedyś uwielbiałem gotować, jak jeszcze żyła moja żona, ale obecnie robię to rzadziej. Gotowanie dla siebie samego bywa nudne – to coś, co sprawia więcej radości, gdy robi się to dla innych. Poza tym lubię galerie sztuki i muzea. Często odwiedzam wystawy.

Ostatnie pytanie: nad czym pan teraz pracuje?

Piszę nową powieść kryminalną z Katie Maguire. Tym razem fabuła dotyka bardzo trudnego tematu, o którym rozmawialiśmy – okrucieństwa wobec zwierząt. W Irlandii coraz częściej pojawiają się nagrania, na których zwierzęta są torturowane i sprzedawane w internecie jako forma „rozrywki”. To przerażające, a zarazem ważne, by o tym mówić. Oczywiście muszę być ostrożny, żeby nie prowokować zbyt mocno, ale uważam, że to temat, który wymaga nagłośnienia.



FOT. PAPLESZEK SZYMANSKI

PO 80 LATACH MÓGŁ ZAPALIĆ ZNICZ NA MOGILE TOWARZYSZA BRONI

Osiemdziesiąt lat zajęło Józefowi Kwiatkowskiemu z Kwasowa koło Sławna – weteranowi 1. Armii Wojska Polskiego – odnalezienie grobu swojego kolegi z oddziału, który umarł na jego oczach w trakcie bitwy o Wał Pomorski. Dzięki przyjaciółom mógł złożyć kwiaty i zapalić znicz na mogile kompana na cmentarzu w Drawsku Pomorskim, gdzie spoczęły trzy tysiące żołnierzy polskich poległych w walkach na terenie powiatu drawskiego

Lukasz Suchanowski



FOT. PAPLESZEK SZYMANSKI



FOT. PAPLESZEK SZYMANSKI

Podczas obchodów 80. rocznicy zakończenia walk o ziemię drawską porucznik Józef Kwiatkowski po raz pierwszy zapalił znicz na grobie swego towarzysza broni. W tym wzruszającym wydarzeniu weteranowi 1. Armii WP towarzyszył minister Michał Syska, zastępca szefa Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, który odznaczył kombatanta medalem Pro Bono Poloniae

Józef Kwiatkowski nie krył wzruszenia, kiedy podczas obchodów 80. rocznicy zakończenia walk o ziemię drawską mógł wreszcie zapalić znicz na grobie swego towarzysza broni. Na uroczystość, mimo sędziwego wieku, przybył wraz z córką i przyjaciółmi. Stojąc nad mogiłą Tadeusza Sokoła na Cmentarzu Wojennym w Drawsku Pomorskim, przypominał sobie dramatyczne chwile sprzed 80 lat, kiedy to po raz ostatni widział swojego kompana z frontu.

– Było to 3 marca 1945 roku podczas końcowych walk o Wał Pomorski – opowiada starszy pan. – Były takie momenty, że Niemcy przechodzili na naszą stronę. Za którymś razem uszkodzili przewód do łączności i czekali na nas, żeby nas złapać, kiedy będziemy chcieli go naprawić. Szedłem wtedy z Tadeuszem Sokołem. Pochodził ze Lwowa, miał wesołe usposobienie. Ja szedłem za nim, miałem aparat łącznościowy, automat, kawałek przewodu jakiegoś. Trzeba było parę metrów tego przewodu mieć, żeby można było połączyć przerwany przewód, żeby już nie wracać po niego do jednostki.

– Tadeusz szedł przodem i odchylił zwisającą gałąź – kontynuuje weteran. – Nie spodziewałem się tego i mnie ta gałąź, napięta strasznie, uderzyła po twarzy, prawe oko uszkodziła. Czułem, że boli i coś mi po tym oku lata. Ale najgorsze przyszło zaraz potem. Kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie ten kabel był uszkodzony, zniemacka pojawił się Niemiec. Widziałem ten moment, gdy wyskoczył zza drzewa. No ale czekam, co będzie, ponieważ nie mogłem do niego, do tego Niemca, strzelać. On bowiem stał za Tadeuszem, jeden za drugim stali, Tadek zasłaniał tego Niemca, no i nie mogłem wroga zabić. To były sekundy. Dopiero jak on już Tadeka przeciął serią z karabinu, mogłem strzelić. Wtedy zabiłem tego Niemca – wspomina weteran. – Tadek Sokół żył jeszcze chwilę. Powiedział mi wtedy, że umiera, i poprosił mnie, aby o śmierci powiadomić rodzinę. Później skonał – dodaje ze łzami w oczach Józef Kwiatkowski.

Po walkach nie było czasu na żałobę, front pędził dalej, na zachód. Kombatant po wielu latach od zakończenia wojny odwiedzał cmentarze w Wałczu, Złotowie i Jastrowiu, jednak nie znalazł grobu swojego towarzysza broni. – W pewnym momencie pomyślałem nawet, że jego rodzina ekshumowała jego szczątki i przeniosła go w swoje strony – mówi 98-latek.

Poprosił o pomoc przyjaciół, którzy za pomocą strony internetowej pamięć-1945.pl odnaleźli miejsce spoczynku szeregowego Tadeusza Sokoła. Dzięki temu mógł zapalić znicz na jego grobie...

„LISTA SCHINDLERA”. ŚWIADECTWO ZAGŁADY I OCALENIA

„Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”
– ta pochodząca z żydowskiej tradycji fraza idealnie wpisuje się w narrację filmu, który dla jego twórcy Stevena Spielberga był jednym z najważniejszych w karierze, a dla światowej kinematografii ponadczasowym arcydziełem – niedawno minęło 31 lat od polskiej premiery „Listy Schindlera”

Wojciech Obremski



Oskara Schindlera mieli zagrać Kevin Costner i Mel Gibson, jednak ostatecznie Spielberg postawił na dość mało znanego wówczas Liama Neesona

Spielberg nie chciał honorarium

Początkowo Spielberg, z pochodzenia Żyd, był zainteresowany bardziej produkcją niż reżyserią, gdyż, jak później podkreślał, nie czuł się do końca gotowy. Nic dziwnego – tematyka filmu zmuszała go do konfrontacji z elementami swojego dzieciństwa, takimi jak antysemityzm, z którym się wielokrotnie spotykał. Proponował więc wyreżyserowanie „Listy Schindlera” Romanowi Polańskiemu, ale ten odrzucił propozycję, argumentując, że jego matka zginęła w Auschwitzu, a on sam ma traumatyczne wspomnienia z pobytu w krakowskim getcie. Spielberg zaoferował więc film Sydneyowi Pollackowi i Martinowi Scorsese, którzy także odmówili. Zrobił to także Brian De Palma, zaś Billy Wilder początkowo zapalił się do pomysłu – film miał być „pomnikiem dla jego rodziny, której większość zginęła w Holocaustu”. Jednak ostatecznie Wilder nie zasiadł w fotelu reżysera, przekonując za to Spielberga, by to on nim został. Ten wreszcie się zgodził, również pod wpływem faktu, iż w mediach pojawiało się coraz więcej głosów negujących Holocaust. W dodatku Spielberg zre-

zygnował z honorarium, nazywając je „krwawymi pieniędzmi”. Zresztą i tak sądził, że film będzie kląpą. Mimo to zabrał się do pracy.

Czarno-biały realizm, realistyczna scenografia

– Rozmawiałem z ocalałymi, pojechałem do Polski, zobaczyłem miasto, spędziłem czas z ludźmi i rozmawiałem z Żydami, którzy wrócili do Polski po wojnie, i rozmawiałem o tym, dlaczego wrócili – mówił Spielberg, który nie wyobrażał sobie, by kręcić „Listę Schindlera” w innym miejscu niż w Krakowie. Reżyser, chcąc zachować pozory dokumentu, zrealizował film w czerni i bieli (do dziś to najdroższy czarno-biały film w historii), a pomagał mu w tym polski operator Janusz Kamiński. Realistyczna scenografia zaś to dzieło Allana Starskiego i Ewy Braun.

Oskara Schindlera mieli zagrać Kevin Costner i Mel Gibson, jednak Spielberg nie chciał, by gwiazdorski blichtr przyćmił główną rolę, dlatego postawił na dość mało znanego wówczas Liama Neesona. Schindlerem miał być też Harri-

son Ford, a nawet... Piotr Fronczewski, który jednak „poległ” na castingu. Na osłodę proponowano mu epizod w filmie, aktor jednak odmówił.

Spielberg pokazał Neesonowi nagrania z prezesem Time Warner Steve'em Rossem, który według reżysera odznaczał się podobną charyzmą co Schindler. Znalaziono także taśmę z oryginalnym głosem Schindlera, którą Neeson skrupulatnie studiował, by jak najbardziej upodobnić swoją intonację do głosu postaci, w którą się wcielił. Do roli Amona Götha przymierzano Tima Rotha, jednak ostatecznie zagrał go Ralph Fiennes. Na potrzeby produkcji utyli 13 kg, a osiągnął to dzięki... ogromnym ilościom wypitego Guinnessa. – Zbliżyłem się do jego [Götha – przyp. red.] bólu. W jego wnętrzu jest złamana, nieszczęśliwa istota ludzka. Czuję się rozdarty z jego powodu, żal mi go – tak opisywał Fiennes swoje doznania po wcieleniu się w rolę zbrodniarza.

Kraków i okolice wielkim plenerem

Zdjęcia do filmu rozpoczęły się 1 marca 1993 roku w Krako-

wie, a całość materiału powstała w 75 dni. Starano się kręcić w rzeczywistych miejscach, jednak nie zawsze było to możliwe – i tak obóz w Płaszowie (przez który, przypominajmy, przeszło około 35 tysięcy więźniów, głównie Żydów, ale także Polaków i Romów, a około 6 tysięcy ludzi straciło w nim życie) musiał zostać zrekonstruowany w pobliskim, opuszczonym kamieniołomie Libana, ponieważ z miejsca, na którym pierwotnie znajdował się obóz, widać było nowe wieżowce. Ustawiono 34 baraki, 7 wież strażniczych, a także wieńcie odwstrazonowca, willę komendanta Amona Götha. Drogi zaś wyłożono betonowymi replikami macew, które do dziś można oglądać w kamieniołomie, podobnie jak schodki czy słupy ogrodzeniowe.

Sceny z wnętrza fabryki naczyni emaliowanych w Krakowie zostały nakręcone w podobnym zakładzie w Olkuszu. Wprawdzie filmowcy otrzymali zgodę na kręcenie na terenie byłego obozu Auschwitz, jednak sprzeciwił się temu Światowy Kongres Żydów. Zbudowano więc replikę części obozu – tuż przed wejściem do Birkenau.

– Nigdy dosyć rozmowy o znaczeniu tej produkcji dla naszego miasta. Krakowianie dzielą się na tych, co grali w wielkiej produkcji Spielberga – jako statyści, rzemieślnicy, podwykonawcy, i tych, którzy przyglądali się produkcji z drugiej strony – obserwatorów – podkreślał Robert Piaskowski, pełnomocnik prezydenta Krakowa ds. kultury, na łamach portalu Krakow.pl.

Dziewczynka w czerwonej sukience

Niestety, powstaniu „Listy Schindlera” towarzyszyły antysemickie incydenty. Pewna kobieta podeszła do ubranego w nazistowski mundur Ralpha Fiennesa i oświadczyła mu, że „Niemcy byli czarującymi ludźmi. Nie zabijali nikogo, kto na to nie zasługiwał”. W pobliżu planu kreślono na murach antysemickie symbole, zaś aktor Ben Kingsley, grający prawą rękę Schindlera, Sterna, niemal wdał się w bójkę ze starszym Niemcem, który obraził izraelskiego aktora Michaela Schneidera.

Steven Spielberg zatrudnił wielu polskich aktorów, z którymi współpracę bardzo sobie chwalił. Wśród nich byli zarówno

doświadczeni artyści, jak i ci, którzy dopiero zaczynali swoją przygodę z aktorstwem. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska, jak: Henryk Bista, Andrzej Seweryn, Agnieszka Krukówna, Maciej Kozłowski, Paweł Deląg, Maja Ostaszewska, Piotr Polk, Jacek Wójcicki czy Olaf Lubaszenko. Z kolei 13-letnia Anna Mucha zagrała Danke Dresner, która, zgodnie z zamysłem filmowców, miała mieć 18 lat. Młoda aktorka ujęła jednak Spielberga do tego stopnia, że ten zmienił dla niej scenariusz.

Jedną z najbardziej zapadających w pamięć scen była ta, w której widzimy dziewczynkę przedzierającą się samotnie przez likwidowane krakowskie getto. Mimo że film był czarno-biały, dziecko ma na sobie czerwona sukienkę, którą widać potem także wśród stosu ciał. Spielberg zdradził, że scena ta miała symbolizować obojętność amerykańskich ludzi władzy na dzieje w Europie Holocaustu. Dziewczynkę zagrała 3-letnia Oliwia Dąbrowska, która wspominała, że została wybrana, bo... wyrażała kompletne niezainteresowanie całą sprawą, a podczas przesłuchania bawiła się frędzlami od dywanu. Gdy już dostała rolę, Spielberg poprosił, by nie oglądała filmu przed osiągnięciem dorosłości. Ta jednak obejrzała „Listę Schindlera”, mając lat 11, co wywołało u niej przerażenie. – To było zbyt straszne. Nie rozumiałam wiele, ale byłam pewna, że nie chcę oglądać czegoś takiego nigdy więcej w życiu – wspominała pani Oliwia na łamach „Faktu”.

„Za dnia – Holocaust, wieczorami – dinozaury”

Steven Spielberg nie oszczędzał się na planie. Każdego dnia, po skończeniu zdjęć, zabierał się za montaż „Parku Jurajskiego”, którego data premiery wyznaczona była na czerwiec 1993 roku. – Za dnia – Holocaust, wieczorami – dinozaury. To nie było łatwe – wspominał reżyser.

Genialną muzykę skomponował „dyżurny” kompozytor Spielberga John Williams, zaś pamiętny, skrzypcowy temat wykonał izraelsko-amerykański skrzypek Itzhak Perlman. Na początku Williams powiedział Spielbergowi: „Do tego filmu potrzebujesz lepszego kompozytora niż ja”. Reżyser zaś odparł: „Wiem. Ale oni wszyscy nie żyją!”. W scenie likwidacji getta chór dziecięcy śpiewa żydowską pieśń ludową „Ojfn Pripeciszyk”. Spielberg wybrał ją, gdyż ten utwór śpiewała mu jego babcia Becky.

Na „Listę Schindlera” spadł deszcz nagród: film uhonorowano siedmioma Oscarami, trzema Złotymi Globami i sześcioma nagrodami BAFTA, co jeszcze bardziej utwierdziło pozycję produkcji jako tej, która pokazała całemu światu wstrząsającą prawdę tamtych czasów.

OBYCZAJE

O kulcie Świętej Śmierci
w Meksyku, ale nie tylko...

Tomasz Pindel, wykładowca Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, pisarz, tłumacz i spec od Ameryki Łacińskiej, przyjrzał się jej obyczajom w aspekcie eschatologii. Okazało się, że stopień egzotyczności amerykańskich wierzeń odnoszący się do spraw ostatecznych jest jeszcze bardziej intrygujący, niż się powszechnie sądzi. „To opowieść nie tyle o samych religiach, ile o ludziach, którzy je wyznają, o ich świecie i problemach” - pisze Pindel.

Maradona na ołtarzu

Dla Latynosów nie ma nic dziwnego w akceptacji np. tego, że dusze zmarłych krewnych mogą mieszkać w szklankach z wodą, albo w wierze dość makabryczny rytuał z udziałem świnki morskiej - leczącej choroby fizyczne, ale i te psychiczne - lub wreszcie w przekonaniu, że niektórzy celebryci, politycy, a przede wszystkim sportowcy-futboliści mają bez mała statut ontologiczny bogów.

Pindel zabiera czytelników najpierw na Kubę, do wyznawców pochodzącej z Afryki santerii i ofrenda a la ceiba, potem do Meksyku, gdzie w latach kryzysu rozkwitają kulty świętych nieuznawanych, a czasem wręcz zwalczanych przez katolicki Kościół, następnie w peruwiańskie Andy, gdzie ludzie ponoć bardzo skutecznie leczą się metodami odziedziczonymi po przodkach i na argentyńsko-paragwajskie pogranicze, na którym religijne wpływy europejskie łączą się z rdzennymi wierzeniami Guaranów.

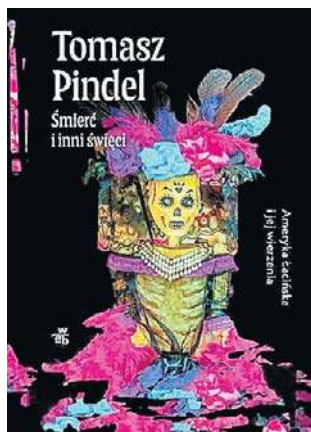
Na końcu jest Buenos Aires, czyli miasto oferujące tak szeroki wachlarz kultów, że przypomina etnograficzny supermarket. Dla każdego coś miłego, z najróżniejszych półek, choćby część dla świętych, do których można się modlić tylko w grzesznych intencjach.

Santa Muerte

Jednak najbardziej działający na wyobraźnię jest meksykański, quasi-katolicki kult Świętej Śmierci. Kostuchy w maryjnych szatach z kosą. Wyznawców Santa Muerte przybywa w Meksyku lawinowo z roku na rok i nawet monity z Watykanu niewiele pomagają.

Santa Muerte przypomina średniowiecznego Mrocznego Żniwarza, zbieracza dusz, posłańca zmarłych i przewodnika, który przychodzi do wszystkich śmiertelników. Ukwiecone ołtarze poświęcone La Santa Muerte można dziś spotkać w całym Meksyku, na rogach ulic i w ubogich domach. Czczą ją i kobiety, i mężczyźni, a każdego pierwszego dnia miesiąca w mieście Meksyk odbywają się publiczne modły do szkieletu.

Latynosi palą świece dla La Santa Muerte i tatuują na ciele jej wizerunki - czasem maleńkie, a czasem ogromne. Już kilka lat temu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uznało ten kult za nielegalny. Powszechnie dostępne są filmy z instruktażami, jak się modlić do La Santa Muerte, i nawet intelektualiści zaczęli mówić, że kult jest „muy auténtico”, czyli jak najbardziej autentyczny. margra



Tomasz Pindel, „Śmierć i inni święci. Ameryka Łacińska i jej wierzenia”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 59,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

SANDRA KUBICKA

Złożyła pozew

Kilka dni temu modelka zaskoczyła opinię publiczną niespodziewanym oświadczeniem, głoszącym że rozstaje się ze swym mężem - muzykiem Aleksandrem Baronem. „W grudniu 2024 roku złożyłam pozew o rozwód. Dlaczego go złożyłam, wiemy tylko my z Aleksandrem oraz nasi najbliżsi. Nie będę wchodzić publicznie w szczegóły tego, co dokładnie się wydarzyło, zachowam to dla sądu” - napisała. I dodała: „Przez wiele miesięcy próbowaliśmy jeszcze się dogadać i nauczyć, jak podzielić opiekę nad dzieckiem. Ja też miałam momenty zawahania i chciałam jeszcze spróbować zawalczyć o to, by Leonard miał dwóch rodziców obok siebie w jednym domu. Niestety nie udało nam się porozumieć” - podsumowała.

NATALIA SZROEDER

Nie odpoczywa

Piosenkarka zaczęła karierę jeszcze jako nastolatka i do dziś nagrała trzy płyty, dała wiele koncertów, wystąpiła na prestiżowych festiwalach i zdobyła znaczące wyróżnienia. Mimo to, ponieważ rzadko gości w serwisach plotkarskich, przylgnęła do niej opinia, iż jest „najbardziej niedocenianą artystką w kraju”. Dlatego postanowiła zaprezentować na Instagramie. - Jestem generalnie bardzo zapracowana. (...) Wydaje mi się, że to trochę się przysysało, że ktoś raz napisał, że jestem niedoceniona i to ze mną zostało. Ja tego nie czuję i chcę was uspokoić, że czuję się bardzo szczęśliwa - powiedziała.

MACIEJ KURZAJEWSKI

Perfekcyjnie
połączył

Popularny prezenter kupił wraz z Katarzyną Cichopek w maju zeszłego roku willę pod Warszawą. W willi znajdują się trzy salony, cztery sypialnie, kuchnia, spiżarnia, garderoba oraz salon kąpielowy i dwie łazienki. Podłogi w salonach pokryte są parkietem, a w łazienkach i przedsiłku marmurem. Rezydencja, choć wybudowana została ponad dekadę temu, została odnowiona i urządzona w stylu Modern French. Taka jest też jadalnia, którą właśnie Kurzajewski pokazał na swym Insta-



Sandra Kubicka złożyła pozew rozwodowy. Rozstaje się ze swym mężem - Aleksandrem Baronem

gramie. „Naturalne drewno dodaje ciepła, a miękkie, obłe formy krzeseł w modnej tkaninie boucle wprowadzają odrobinę współczesnej lekkości” - powiedział celebryta.

BARBARA KURDEJ-SZATAN

Zaczęła płakać

Pod koniec 2021 roku aktorka zamieściła na Instagramie nagranie, w którym pojawiły się wulgarnie słowa pod adresem Straży Granicznej. Sprawa trafiła do sądu i ciągnęła się niemal do dzisiaj. Kilka dni temu Kurdej-Szatan poinformowała, że doszło do jej ostatecznego umorzenia. - To koniec! Trzy i pół roku rozpraw, przychodzących pism z sądu, na widok których ze stresu chciało mi się wymiotować. Hejt oczywiście istnieć będzie, jakoś radzę sobie z nim od lat. Ale ciężący z tyłu głowy temat rozpraw się zakończył. Sprawa ponownie umorzona - powiedziała. I dodała: - Jak usłyszałam to wszystko w sądzie, to zaczęłam płakać. Powiedziałam tylko ciacho „dziękuję” i płacząc, wyszłam. Po traumach człowiek zupełnie inaczej reaguje i nie da się tego po prostu powstrzymać. Rzeczywiście ze mnie wszystko zeszło.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Rozumie
sytuację

Od kiedy celebrytka zaczęła wywijać hołubce z aktorem Filipem Gurlaczem na parkiecie

„Tańca z gwiazdami”, pojawiły się plotki, że może ich łączyć coś więcej. Plejada zapytała uczestników show, czy jest coś na rzeczy. - To jest na tyle specyficzna sytuacja, że trudno ją określić. W tym wszystkim jest taniec, który ma intymność, bliskość itd., więc co edycja tego typu komentarze się pojawiają. Ludzie szukają emocji - odpowiedziała niejednoznacznie Kaczorowska. Gurlacz był bardziej stanowczy: - Nic takiego nie ma na rzeczy, jeżeli chodzi o jakąś pikanterię. Jakby coś było na rzeczy, to już byście wiedzieli - podsumował. Kaczorowska obecnie jest w trakcie rozstania z Maciejem Pelą. Gurlacz od 2016 roku jest mężem Małgorzaty Patryn. Para ma dwóch synów - Michała i Józefa.

MICHAŁ MIŁOWICZ

Doczekał się

Sympatyczny aktor właśnie po raz pierwszy został ojcem. Wraz z partnerką, Katarzyną Kędzierską, powitali na świecie syna, który ma na imię Maurycy Aleksander. Chłopiec urodził się 6 marca, czym dumni rodzice pochwiliili się na Instagramie. Miłowicz zamieścił zdjęcie, na którym widać, jak dumnie trzyma malucha na rękach. Pod fotografią zamieścił wpis: „Kochani. Chciałbym w imieniu moim i Kasi, podziękować wam wszystkim po kolei i z osobna za ogrom płynących od was życliwych, ciepłych i pełnych dobrych emocji oraz wsparcia życzeń. Zaczynamy nowy najważniejszy rozdział życia. Para jest ze sobą od 2022 r.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Przejdiesz sprawdzian z taktu i delikatności. Horoskop dzienny wróży, że ktoś postawi Cię w niezręcznej sytuacji.

Ryby (19.02 - 20.03)

Nadejdzie do Ciebie dobra wiadomość. Horoskop na dziś zapowiada, że ucieszy ona także inne osoby.

Baran (21.03 - 19.04)

Zdanie innych osób nie będzie miało dla Ciebie żadnego znaczenia. Horoskop dzienny na piątek mówi, że polegać będziesz tylko na swoim.

Byk (20.04 - 20.05)

Zainicjujesz przedsięwzięcie, w które zaangażują się inne osoby. Horoskop dzienny mówi, że wspólny wysiłek przyniesie dobre efekty.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Podjęmowany przez Ciebie trud będzie przynosił oczekiwane efekty. Horoskop na dziś mówi, że dostarczy Ci to mnóstwo satysfakcji.

Rak (22.06 - 22.07)

Nie przejmuj się krytyką kierowaną w Twoim kierunku. Horoskop dzienny na piątek mówi, że to zwykła złośliwość.

Lew (23.07 - 22.08)

Wszystko, za co się zabierzesz, będzie szło po Twojej myśli. Horoskop dzienny zapowiada, że wieczorem postanowisz to jakoś uczciwie.

Panna (23.08 - 22.09)

Ktoś prawdopodobnie odwiedzi Cię w czasie weekendu. Horoskop na dziś radzi przygotować „coś na ząb”.

Waga (23.09 - 22.10)

Dzień minie Ci w sennej, czasami wręcz leniwej atmosferze. Horoskop dzienny na piątek wróży, że wieczorem wcześniej położysz się spać.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Koncentracja nie będzie dzisiaj Twoją najmocniejszą stroną. Horoskop dzienny radzi zadania wymagające precyzji odłożyć na później.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Będziesz ostoją spokoju i opanowania. Horoskop na dziś zapowiada, że nikt i nic nie będzie w stanie wyprowadzić Cię z równowagi.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nie pozwól, aby inne obowiązki przesłoniły Ci życie rodzinne. Horoskop dzienny na piątek przypomina, że można to pogodzić...

Clonality	kernel	most	minim	Fi

ROZWIĄZANIE: NIE KRZYCZYMY, KIEDY BOLI INNYCH.

0011287470

0011287717

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

prof. dr. hab.

Wincentego M. Kilarskiego

Wieloletniego pracownika
Zakładu Biologii i Obrazowania Komórki
Instytutu Zoologii i Badań Biomedycznych
Wydziału Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego
Członka Rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk
i Członka Czynnego Polskiej Akademii Umiejętności
Odznaczonego Krzyżem Kawalerskim
Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
najwyższym wyróżnieniem Uniwersytetu Jagiellońskiego
– Laurem Jagiellońskim
Najwyższej klasy specjalisty z zakresu
ultrastruktury komórek mięśniowych
i naczyń włosowatych oraz struktury oocytów
Znawcy biologii, anatomii i histologii ryb
Wychowawcy wielu pokoleń biologów
i Autora podręczników dla studentów
biologii, medycyny i weterynarii

Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego współczucia
składają

Dziekani i Pracownicy

Wydziału Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Z ogromnym żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Zbigniewa Buskiego

wieloletniego dyrektora
Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.

Jego pasja i zaangażowanie w rozwój sopockiej kultury
pozostaną na zawsze w naszej pamięci.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
składają

Magdalena Czarzyńska-Jachim
prezydentka Sopotu

Aleksandra Gosk
przewodnicząca Rady Miasta Sopotu

oraz

pracownicy Wydziału Kultury i Sportu
Urzędu Miasta Sopotu

Wspomnienia. Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na
nekrologi.net
i dziennikbałtycki.pl/nekrologi

Dwa srebra Łukasza Gliszczyńskiego



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Wyjazd na MP był udany dla Łukasza Gliszczyńskiego

Magdalena Olechnowicz
magdalena.olechnowicz@gp24.pl

LEKKOATLETYKA. Halowe Mistrzostwa Polski Niesłyszących w Spale były dobrym rozpoczęciem roku dla Łukasza Gliszczyńskiego z Bytowa.

Młody lekkoatleta po trzech latach wrócił do skoku wzwyż i wrócił z dwoma srebrnymi medalami. Zdobył wicemistrzostwo Polski niesłyszących z wynikiem 170 cm.

Bytowski lekkoatleta Łukasz Gliszczyński reprezentował Wrocławski Klub Sportowy Niesłyszących Świt. Łukasz po raz kolejny pokazał na co go stać a I miejsce w Plebiscycie Sportowym „Głosu Pomorza” w kategorii Sportowiec Roku – mężczyźni w powiecie bytowskim oraz II miejsce w finale wojewódzkim pomorskim nie sprawiło, że osiadł na laurach.

- Po trzech latach przerwy wróciłem do skoku wzwyż w hali i zdobyłem wicemistrzostwo Polski Niesłyszących z wynikiem 170 cm. Cieszę się z powrotu i już myślę o kolejnych startach na stadionie - mówi Łukasz Gliszczyński.

- Razem z kolegami z klubu Świt Wrocław zdobyliśmy wicemistrzostwo Polski w sztafecie 4x200 m, ustanawiając nowy rekord klubu - poprawiliśmy go o 1,69 sekundy! Pobiegłem na trzeciej zmianie. Skład sztafety był taki sam jak rok temu.

Dobry wynik zanotował też Łukasz w skoku w dal, w którym zajął 6. miejsce.

- Wynik nie był najlepszy i poniżej moich oczekiwań, ale myślę pozytywnie i wierzę, że na stadionie będzie coraz lepiej - mówi Łukasz.



REKLAMA

0011246076

dziennikbałtycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych
współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17
i zapłać kartą kredytową

Przez internet: ibo.polskapress.pl

W Biurze Ogłoszeń - Gdańsk, Połęża 3,
tel. 58/3003 211

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIĘ koparko-ladowarkę lub
minikoparkę. Tel. 535-480-794.

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe suche iglaste-
190zł, osika-230zł, klon-260zł, dąb
310zł, buk-340zł - metr nasypowy
połupany z transportem, woj.
pomorskie, sprzedam tel. 723-894-857

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE- KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powyypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

ODKUPIĘ współwłasność
w mieszkaniach, cała Polska
518-503-404

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY: cieśla murarz malarz spaw.
ocieplenia elektryk: 601-218-955.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy,
papy, rynny, malowanie, 517-744-487

MALOWANIE dachów 788-016-988

REMONTY mieszkań, kafelkowanie,
regipsy, hydraulika 797-544-074

Sufity Podwieszane: Napinane,
Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe,
Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

TROJMIASTO-REMONTY.PL
Generalne A-Z wszystkiego 698035872

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny,
1400 zł, w górach koło Wadowic,
tel.: 501-642-492.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny
rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski dowóz. 600539790

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlery)
odchowane, 10-20 tyg, kaczk
i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram
zapisy. Tel. 728-104-188.

WAGA inwentarzowa do 1000 kg
Chojnice tel. 604 441 840

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/
tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

SKUP książek 881-934-948

Komunikaty

FIRMA Stawscy s.c oświadcz że,
ze względu na bezpieczeństwo
informujemy że, podjęliśmy decyzję
o niezwłocznym wycofaniu ze
sprzedaży zabawki Soft Bubble Boba
Plush PB3503 EAN 5900000029733
Poduszka zawierała zamek który
umożliwiał bezpośredni kontakt
z wypełnieniem.

Głośno o Marciniaku po 1/8 finału Ligi Mistrzów

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Real Madryt ostatnim ćwierćfinalistą tegorocznej Ligi Mistrzów. W 1/8 finału zwycięski okazał się dopiero po rzutach karnych. Atletico napędziło Los Blancos strachu.

Piłkarz Atletico Madryt Julian Alvarez w serii rzutów karnych przeciwko Realowi poślizgnął się i przypadkowo przed strzałem dotknął piłkę lewą nogą, przez co sędziowie musieli anulować trafienie. „Ujmę to tak: to jedna z najważniejszych decyzji sędziowskich w historii futbolu” – napisał na X (dawniej Twitter) dziennikarz Kanału Zero Krzysztof Stanowski. „Piłka kopnięta prawą nogą jeszcze zawadziła o lewą stopę?” – dopytywał zdziwiony redaktor.

„Ciekawostka. Wydaje mi się, że Alvarez dotknął dwa razy, ale ten filmik fajnie uzmysławia, jak czasami możemy się pomylić” – dodał Stanowski, zamieszczając dla porównania wideo z rzutu karnego Lautaro Martinez z meczu Interu przeciwko Atletico Madryt, kiedy piłka przed strzałem sama również nienaturalnie delikatnie podskoczyła.

„Ciekawi mnie wasza opinia” – zastanawiał się Łukasz Gikiewicz, załączając wideo ze spornej sytuacji, w której Szymon Marciniak i VAR anulowali trafienie z rzutu karnego.

Jakie zdanie miał po meczu trener Atletico Madryt Diego Simeone? Był wściekły. Obwinił Marciniaka oraz jego zespół sędziowski i nie zgadzał się z decyzją. – Do wszystkich tutaj: podnieście rękę, jeśli widzieliście, że Julian dwa razy dotknął piłki przy rzucie kar-



FOT. PAP/EP/UNAJO

Decyzja Szymona Marciniaka o nieuznaniu trafienia Juliana Alvareza w serii rzutów karnych była prawidłowa

nym. No, dalej! I? Gotowi? Nikt nie podnosi ręki! – mówił Argentyńczyk na konferencji prasowej.

Prawidłowa decyzja arbitra

Nie wszyscy jednak krytykowali Marciniaka i zasiadającego na VAR-ze Tomasza Kwiatkowskiego, który dał sygnał naszemu sędziemu. Komentarz i dziennikarz Eleven Sports Mateusz Świąćicki od samego początku był przekonany o słuszności decyzji, która – choć mocno kontrowersyjna – była zgodna z regulaminem. – Brawa dla sędziów. Po to jest arbiter VAR, który ogląda mecz na monitorze, żeby łapać takie

detale. Ocena Szymona Marciniaka i jego staffu będzie po tym spotkaniu bardzo wysoka, bo co by nie mówić, był to jeden z kluczowych momentów tego meczu – tłumaczył w Meczykach Świąćicki.

„Alvarez dotyka piłki najpierw lewą nogą. Sytuacja klarowna. Zero kontrowersji” – odniósł się także we wpisie w mediach społecznościowych na platformie X.

– Ogólnie ta zasada jest bez sensu, ale tego już się nie zmieni. Jeśli dotyka piłkę nie chcąc dwa razy, to powinna być powtórka karnego. To jak, dotyka Julian dwa razy piłkę? – Dziwił się komentator Eleven Sports Piotr Urban.

Dwie największe kontrowersje

Kolejną sytuacją, która wywołała dyskusję, był potencjalny rzut karny dla Realu Madryt po zagraniu piłki ręką Giuliano Simeone w pierwszej połowie meczu. Wielu faktycznie widziało w tej sytuacji nieprzepisowe zatrzymanie futbolówki, ale byli i tacy, którzy stwierdzili, że Marciniak nie miał pretekstu, by wskazać na „wapno”. Ręka Argentyńczyka była naturalnie ułożona i nie zmieniła aż tak lotu piłki po wstrzeleniu jej przez Viniciusa Juniora.

Ile Marciniak zarobił za 1/8 finału?

Marciniak za sędziowanie tak prestiżowego meczu, jakim były derby Madrytu w 1/8 finału Ligi Mistrzów, zgarnął około 6 tysięcy euro (około 25 tysięcy 200 złotych) – podał Przegląd Sportowy Onet.

Jednocześnie ujawnił stawki za kolejne etapy fazy pucharowej i w konsekwencji za ćwierćfinały oraz półfinały. Sędziowie zgarną około 7,5 tysiąca euro (około 31 tysięcy 500 złotych), a za wielki finał, który odbędzie się w tym roku na Allianz Arenie w Monachium, 10 tysięcy euro, czyli około 42 tysiące w przeliczeniu na złotówki.

Pary ćwierćfinałowe Ligi Mistrzów

Bayern Monachium - Inter Mediolan;
FC Barcelona - Borussia Dortmund;
Paris Saint-Germain - Aston Villa Londyn;
Arsenal Londyn - Real Madryt.

Ćwierćfinały zostaną rozegrane 8/9 i 15/16 kwietnia. Finał bieżącej edycji LM odbędzie się 31 maja w Monachium. ©

HMS w Nankinie: z Polski przyjdzie dziesięcioro sportowców

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

LEKKOATLETYKA. Dziesięcioro reprezentantów Polski wystąpi na zbliżających się halowych lekkoatletycznych mistrzostwach świata, których gospodarzem będzie odległy chiński Nankin.

W dniach 21-23 marca br. w „Indoor Athletics Arena” – obiekcie usytuowanym na terenie „Nanjing Sports Training Centre” – zobaczymy m.in. trójkę naszych medalistów HME – złotych: Annę Wielgosz (800 metrów) i Jakuba Szymańskiego (60 metrów przez płotki) oraz brązową Pię Skrzyszowską (60 metrów przez płotki).

Kilka dni temu w niderlandzkim Apeldoorn Wielgosz dopiero trzeci raz w karierze brała udział w zawodach rozgrywanych pod dachem poza Polską – w 2019 roku w Liévin zdołała wyprzedzić tylko dwie rywalki, a pięć lat później odpadła w eliminacjach halowych mistrzostw świata w Glasgow. ©

Reprezentacja Polski

Kobiety:
60 m: Ewa Swoboda (Podlasie Białystok);
400 m: Justyna Święty-Ersetic (AZS AWF Katowice);
800 m: Anna Wielgosz (CWKS Resovia Rzeszów);
60 m ppł.: Pia Skrzyszowska (AZS AWF Warszawa);
skok w dal: Anna Matuszewicz (MKL Toruń);
pięciobój: Paulina Ligarska (SKLA Sopot);
Mężczyźni:
800 m: Patryk Sieradzki (Zawisza Bydgoszcz);
60 m ppł.: Jakub Szymański (SKLA Sopot) i Krzysztof Kiljan (AZS AWF Warszawa);
rzut kulą: Konrad Bukowiecki (AZS UWM Olsztyn).

Premie finansowe

1. miejsce: 40 000 dolarów;
2. miejsce: 20 000 dolarów;
3. miejsce: 10 000 dolarów;
4. miejsce: 8000 dolarów;
5. miejsce: 6000 dolarów;
6. miejsce: 4000 dolarów.



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Objawienie sezonu halowego 2025: trener Marcin Wielgosz z żoną, mistrzynią Europy Anną Wielgosz

Rusza Formuła 1. Nie ma zgody na przekleństwa. Wielki powrót mistrza

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

FORMUŁA 1. Przed nami 76. sezon mistrzostw świata Formuły 1 - ostatni z silnikami turbodoładowanymi z komponentem MGU-H. Od 2026 roku będą nowe regulacje co do jednostek napędowych.

Już w najbliższą niedzielę, 16 marca, odbędzie się pierwszy z 24 wyścigów – Grand Prix Australii na torze „Albert Park Circuit” w Melbourne. Faworytem, choć znacznie mniej oczy-

wistym niż w ubiegłych sezonach, jest broniący tytułu Holender Max Verstappen (Red Bull). Kibice Ferrari oczekują z pewnością występów Brytyjczyka Lewisa Hamiltona.

Max Verstappen triumfował w klasyfikacji generalnej w czterech ostatnich latach i może zostać drugim kierowcą w historii, który sięgnie po mistrzostwo świata pięć razy z rzędu. Wcześniej dokonał tego jedynie Niemiec Michael Schumacher (2000-2004).

Jednak już druga połowa minionego sezonu wskazała, że

dominacja 27-letniego Holendra może dobiec końca. Z 14 ostatnich rund MŚ Verstappen wygrał tylko dwie. Dla porównania, w 2023 roku zwyciężył w 19 z 22 wyścigów!

Słabsza postawa Holendra oraz jeszcze gorsze wyniki Meksykanina Sergio Perez z powoduwały, że w 2024 roku Red Bull nie mógł cieszyć się z trzeciego z rzędu tytułu mistrza świata konstruktorów. Perez stracił zresztą miejsce w stawce 20 kierowców wyścigowych, a zastąpił go mało doświadczony w F1 Nowozelandczyk Liam Lawson.

W klasyfikacji końcowej pierwsze miejsce zajął McLaren, który zdobył pierwszy tytuł w XXI wieku. W tym roku w dalszym ciągu jego barw bronić będą Brytyjczyk Lando Norris i Australijczyk Oscar Piastri. Pierwszy z nich uchodzi za największego rywala Verstappen, a przez niektórych uważany jest nawet za najpoważniejszego kandydata do tytułu.

Wielką zagadką będzie postawa 7-krotnego mistrza świata Lewisa Hamiltona, który po 12 latach w Mercedesie spróbuje teraz swoich sił w Ferrari.

Kibice włoskiego teamu liczą na to, że Brytyjczyk pomoże zdobyć pierwszy tytuł mistrza świata konstruktorów od 2008 r.

Gdyby Hamilton triumfował w klasyfikacji kierowców, byłby jedynym w historii zawodnikiem z ośmioma indywidualnymi tytułami. Na razie dzieli rekord z Schumacherem, który również zwyciężył siedem razy.

W mediach prognozuje się, że o tytuł walczyć będą nie tylko giganci kierowcy – czyli Verstappen, Norris i Hamilton – bo nie bez szans są też Piastri, Monakijczyk Charles Leclerc (Fer-

rari) i Brytyjczyk George Russell (Mercedes).

Jednym z wątków, który może przewijać się podczas najbliższego sezonu, będą kary za... przekleństwa. Prezydent Międzynarodowej Federacji Samochodowej Mohammed Ben Sulayem zapowiedział nakładanie grzywnien w wysokości minimum 40 000 euro na kierowców, którzy użyją wulgaryzmów podczas zawodów w komunikacji radiowej z inżynierami wyścigowymi (rozmowy są dostępne dla publiczności). ©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend rozegrana zostanie następna kolejka w pomorskiej czwartej lidze.Program 20 kolejki: Wikęd
Luzino - Anioły Garczegorze
(sobota, godz. 12), Radunia
Stężycza - Gryf Wejherowo
(sobota, godz. 11), Supra
Kwidzyn - Bytovia Bytów (so-
bota, godz. 11), ChojniczankaII Chojnice - Czarni Pruszcz
Gdański (niedziela, godz. 11),
Pogoń Lębork - Wierzyca
Pelplin (sobota, godz. 15.30),
Stolem Gniewino - Bałtyk
Gdynia (sobota, godz.
14.30), Grom Nowy Staw -Kolejarz Chojnice (sobota,
godz. 15), Sparta Sycewice -
Jaguar Gdańsk (sobota,
godz. 11.30), Pomezania Mal-
bork - KP Starogard Gdański
(sobota, godz. 15).
(stan)

PIŁKA NOŻNA

Derby Pomorza w Orlenie Ekstralidze kobiet.AP Orlen Gdańsk zagra z Po-
gonią Dekpolu Tczew. Mecz
zostanie rozegrany w sobotę
o godz. 13 na stadionie
przy ul. Traugutta.
(stan)

Lechii punkty pilnie potrzebne

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Po trzech porażkach z rzędu kurczy się margines błędów dla piłkarzy Lechii Gdańsk. Dziś zagrają z Radomiakiem i to będzie bardzo ważny mecz dla podopiecznych trenera Johna Carvera.

Strata do miejsca dającego utrzymanie to wciąż tylko jeden punkt, ale drużyna musi pozyskać go z tempem błyskawicznym. Z pewnością nie jest łatwo, bo ostatnie wyniki są rozczarowujące, a przed szalaniem ważnym meczem w Radomiu nie brakuje problemów kadrowych.

Lechia znalazła się w trudnej sytuacji, bo nie dość, że straciła ważne punkty, to trzy porażki z rzędu muszą odbić się na zawodnikach. Teraz przed Białą-Zieloną niesamowicie ważne spotkanie w Radomiu, bo drużyna z Gdańska potrzebuje punktów jak tlenu.

- Cały czas pracujemy nad rozwojem zespołu. Ostatnio bardzo skupiliśmy się na ataku i tworzeniu jak naj-

większej liczby okazji do zdobywania bramek, ale przez to zaniedbaliśmy naszą grę w obronie. Rzeczywiście uważam, że w trzech ostatnich meczach momentami zabrakło nam szczęścia, np. nietrafiony rzut karny w meczu z Górnikiem. Myślę, że największym problemem mojej drużyny jest ich wiek. To bardzo młodzi piłkarze, którzy jeszcze nie przywykli do warunków gry, jakie panują w Ekstraklasie. Mam tu na myśli zarówno aspekty psychiczne, jak i taktyczne i fizyczne. Nie oznacza to jednak, że tracą oni zapal do gry. Jesteśmy teraz w kluczowym momencie sezonu, gdzie musimy zdobyć tak dużo punktów, jak tylko to możliwe - powiedział John Carver, trener Lechii.

W zupełnie innym nastroju przystąpi do piątkowego meczu drużyna Radomiaka. W trzech ostatnich meczach zdobyła siedem punktów i już na sześć odskoczyła od strefy spadkowej. To oczywiście piłkarzom z Radomia nie gwarantuje całkowitego spokoju, ale daje pewne poczucie komfortu. Biało-Zieloni mogą popsuć gospodarzom najbliższego meczu dobre samopoczucie i sami zro-



Lechia jesienią wygrała z Radomiakiem i chce to powtórzyć w Radomiu

bić krok w kierunku opuszczenia strefy spadkowej w tabeli PKO Ekstraklasy. Do tego jednak potrzebny jest powrót do tej gry, którą drużyna prezentowała w pierwszych meczach rundy rewanżowej.

- Trudnością dla zespołu jest ich młodość i brak doświadczenia. Mecze wygrywa się nie tylko mentalnością, ale też fizycznością, techniką czy taktyką. Zdecydowanie nie jest to objaw braku wiary. Jesteśmy

w kluczowym momencie sezonu i musimy dobrą grę przekuć na naszą korzyść, czyli na zdobywanie punktów. Musimy wrócić do tego, co było naszą podstawą, czyli dobrą strukturą drużyny. Radomiak robi postępy i jest lepszą drużyną. Dokonał kilku wzmocnień, więc spodziewamy się bardzo trudnego meczu. Będziemy kładli nacisk na to, jak my mamy grać i reagować na to, co się dzieje na boisku -

zdradził trener piłkarzy Lechii Gdańsk.

Dla zespołu z Gdańska mecz w Radomiu na pewno będzie wymagający choćby przez problemy kadrowe. W dalszym ciągu gotowy do gry nie jest Iwan Zelizko, a do tego za kartki pauzować będzie Elias Olsson. To oznacza, że na środku obrony partnerem Bujara Pllany będzie Andrei Chindris albo Loup-Diwan Gueho. Znaków zapytania

może być więcej, bo zawodników - podobnie jak już wcześniej trenera Carvera - dopadła choroba. To też oznacza, że niektórzy zawodnicy mogą mieć problemy fizyczne, a sztab szkoleniowy ból głowy wynikający z niewielkiego pola manewru. Do gry będzie za to już gotowy Maksym Chłani, który zakończył pauzę za żółte kartki.

- Nie będę wchodzić w szczegóły, ale mamy kilku zawodników, którzy chorowali. Dwóch z nich nie jest gotowych do gry na sto procent, a do tego Elias Olsson pauzuje za kartki. Coraz mniej zawodników mamy dostępnych, ale musimy sobie i z tym poradzić. Wiem jaką kadrę dysponujemy i nic nie możemy teraz zrobić, więc musimy potraktować to jako wyzwanie. Zachorowali nie tylko piłkarze, ale również sztab, a to ostatnie czego potrzebowaliśmy. Na to nie da się przygotować - podsumował trener Carver.

Wyjazdowy mecz Lechii Gdańsk z Radomiakiem Radom o punkty w PKO Ekstraklasie rozegrany zostanie dziś o godz. 18. Transmisja w Canal+3 i Canal+5. ©

Arka Gdynia powalczy o trzecie wyjazdowe zwycięstwo w tej rundzie

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Arka Gdynia zagra o trzecie zwycięstwo w rundzie rewanżowej w rozgrywkach Betclia 1. Ligi.

W najbliższej kolejce rywalem będzie Górnik Łęczna, a Żółto-Niebiescy będą chcieli podtrzymać bardzo dobrą passę w meczach wyjazdowych. Drużyna z Gdyni będzie także bronić pozycji lidera na zapleczu PKO Ekstraklasy.

Piłkarze z Gdyni w rundzie wiosennej dwa mecze w Gdyni zremisowali, a dwa wyjazdowe wygrali. Idąc prawem serii powinni teraz sięgnąć po trzy punkty w Łęcznej. Po zwycięstwie w Chorzowie nad Ruchem drużyna Żółto-Niebieskich awansowała na pozycję lidera tabeli Betclia 1. Ligi, ale w klubie nikt się tym dziś przesadnie nie zachwyca.

- Otwarcie rundy rewanżowej w wykonaniu naszej drużyny oceniam jako średnie, ale finalni i tak będziemy rozliczani na koniec sezonu. Musimy być konsekwentni, bo walka o awans toczyć się będzie do samego końca. Widać jak dobrze punktują zespoły ze środka tabeli. Na tym etapie nie ma znaczenia czy będziemy na pierwszym czy drugim miejscu w tabeli. Do końca sezonu zostało jedenaście kolejek i jeszcze dużo może się zmienić. Zwycięstwo w Chorzowie cieszy, ale nie ma się co podniecać, bo przed nami jeszcze bardzo dużo pracy - mówił po ostatnim zwycięstwie Dawid Szwarga, trener Arki.

Żółto-Niebiescy w meczach wyjazdowych grają bardzo konsekwentnie. Pewnie spisują się w defensywie, a do tego mają jakoś w ofensywie i dobrze dopracowane stałe fragmenty gry. To zresztą było widać w dwóch ostatnich me-



Arka Gdynia liczy na szybkich skrzydłowych, w tym na Tornike Gaprindaszwilliego

czach w wykonaniu drużyny z Gdyni. Arka chce mieć jak najwięcej atutów na boisku i umiejętność zaskoczenia rywala na różne sposoby, a to powinno pomóc w realizacji celu. Trener Szwarga i jego podopieczni bardzo chcą awansować do PKO Ekstraklasy, a kolejne zwycięstwa przybliżają ich do tego.

Arka będzie miała okazję pokazać w Łęcznej, jak w spotkaniu wyjazdowym radzi sobie z rolą faworyta. Górnik ewidentnie ma ostatnio problemy i stąd spadek w ligowej tabeli. Ścisł jednak jest duży, bo chociaż zespół jest dziś na dziesiątym miejscu to do strefy barażowej o awans do PKO Ekstraklasy traci tylko trzy punkty. Piłkarze Arki z pewnością nie będą chcieli ułatwić Górnikowi odrabiania strat, a raczej postarają się wykorzystać kryzys rywala.

Zespół z Łęcznej przegrał trzy ostatnie mecze, a w czterech kolejnych zdobył zaledwie

jeden punkt, dzięki remisowi u siebie z ŁKS-em Łódź. To oznacza, że Górnik ostatnie ligowe zwycięstwo odniósł jeszcze w ubiegłym roku, a u siebie 1 grudnia ze Stalą Stalowa Wola.

Drużyna Arki Gdynia oczywiście nie może pozwolić sobie na to, aby zlekceważyć rywala, bo takie podejście może się tylko źle skończyć. Rywale z pewnością będą chcieli się odbić po słabszych wynikach i sprawić niespodziankę. To podopieczni trenera Szwargi muszą pokazać na boisku swoją dojrzałość i grę na miarę lidera tabeli w Betclia 1. Lidze. Jeśli zagrają skoncentrowani i skuteczni to będą mogli myśleć o tym, aby dopisać kolejne cenne trzy punkty do swojego dorobku.

Mecz Arki Gdynia z Górnikiem w Łęcznej w rozgrywkach Betclia 1. Ligi rozpocznie się w niedzielę o godz. 14.30. Transmisja w tvpsport.pl. ©